

Zapraszamy do dyskusji

Jan Grygiel

CIEMNY, poobitany korytarz, w kątach jakieś rdzewiejące żelastwo i stara miotła, później brudne schody i drzwi z napisem: Powiatowy Dom Kultury. Za nimi długi, kiskowaty pokój z kilkunastoma różnorodnymi drewnianymi krzeselkami i telewizor w kącie, w drugim łodowaty piec kafłowy. Za tym pokojem następny, urządzone już z mniej spartańską prostotą — trzy czy cztery biurka, tyleż szaf, parę krzeseł oraz oszklona gabłota z książkami — i wreszcie trzeci pokój pełniący rolę magazynu kostiumów teatralnych, instrumentów muzycznych, aparatury audiowizualnej itd. I jeszcze jedna mała — salka ogniska muzycznego — to

dys przed 100 czy 50 laty gmachy te spełniały dobrze swą funkcję, imponowały w skali ówczesnej monumentalnością — starczyli dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych, ale dziś, gdy miasta się rozrosły, potrzeby zwiększyły, a skala uległa zasadniczym zmianom?... Jak bez gruntownej renowacji, zasadniczej przebudowy przystosować te gmachy do wymagań współczesności...

By nikt nie miał krzywdy, nowo zbudowany PDK w Lubaczowie nie wiele różni się standardem, rozmachem i estetyką wnętrza od wysłużonych emerytów. Projektanci wykazali absolutny brak wyobraźni. Znowu kilka kiltek, skromna sala widowiskowa, mizerny, nieprzytulny hall i to wszystko... Szaro i smutno jak w innych. A nowy dom kultury w Tyczynie? Brzydka, niefunkcjonalna sala widowiskowa projektowana przez człowieka, który chyba teatr zna ze słyszenia (mała scena, brak proscenium, fatalna akustyka, zła widoczność) i

mach kultury, w których istnieją sale widowiskowe (choć o imprezy gościnne nie własne) oraz telewizorów, ilość gości placówki wzrosła bardzo znacznie. Ale przecież to nie jest sprawdzianem aktywności PDK-u w pracy środowiskowej.

Czy więc można obarczać te placówki odpowiedzialnością za bierność, wegetowanie na marginesie życia kulturalnego miasta, brak wiodącej roli w środowisku, za anachroniczność i nieskuteczność form oddziaływania? Przecież PDK-ina ogół pracują na miarę swoich możliwości, pracownicy dwoją się i troją, by dać szczyptę dla potrzeb kulturalnych mieszkańców miasta i nieco instruktażu dla placówek k. o. i zespołów w powiecie. Czy można marzyć o tym, by powiatowe placówki kulturalne mogły w istniejących warunkach w pełni realizować to, co zakłada ich ramowy statut zatwierdzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w roku 1955? Cytuję: „Powiatowy Dom Kultury, zwany w dalszym ciągu PDK, jest ośrodkiem krzewienia kultury — miejscem współpracy postępowych organizacji społecznych, działaczy i stowarzyszeń społeczno-kulturalnych oraz placówką pośrednictwa w zakresie pracy kulturalno-oświatowej dla miasta i powiatu. Do głównych zadań PDK należy: 1) Rozbudzenie i zaspokajanie potrzeb kulturalnych mieszkańców przez stosowanie różnorodnych form pracy kulturalno-

Tadeusz Piekło

TRYPTYK ULICZNY franciszkańska

ulico zdeptana
w patrznie uwikłana
i w mętobure chmury
późnej architektury

ulico nazbyt żywa
inaczej się nazywasz
boś cała przemieniona
choć tu ta sama stronc

ulico wystrojona
w jedwabiach i neonach
kto tu będzie litościw
twej jaskrawej próżności



biskupia

po schodkach po zbawienie
ze chodków w potępienie

mury i głuche okna
gałąź nad nimi mokra

jest kamień na kamieniu
w milczącym pochyleniu

wąski dopływ podgórny
kości mięśni i skóry



katedralna

wypływająca spod dębowej trumny
nad którą zachód czerwienią przecieka
w gęstej zieleni co ciemności czeka
wsparta o popękanych starych pni lud tłumny
w południe płynie nią świetlista rzeka
aż po sutannę z cieni wymieciona
i opadają dzwonów ciężkie grona
tak jak opada lotny czas z człowieka

i trwa
w upale lipca
w deszczu marca
równia pochyla

wciąż niżej nas stacza

Przemysł, 1963 r.

DYLEMATY

już wszystko. Całość nakryta przeciekającym dachem. Tak wygląda Powiatowy Dom Kultury w Nisku. Za te cztery kilki płaci wysoki czynsz właścicielowi budynku Woj. Zarządowi Kin, którego jest sublokatorem.

W tej najważniejszej placówce kulturalno-oświatowej powiatu pracuje 5 osób w działalności programowej (kierownik i 4 instruktorów) rozporządzających budżetem rocznym w wysokości 280 tys. złotych. Z tego 30 tys. złotych wynosi koszt utrzymania lokalu, a 126 tys. złotych — pensje pracowników.

Wybrałem przykład najbardziej drastyczny, w tak bowiem trudnych warunkach nie działają pozostałe PDK w województwie rzeszowskim. Ale i w innych powiatach do sielanki na tym polu daleko. Oto garść faktów:

Brzozów. Dom Kultury rozporządza 7 pomieszczeniami, 4 etatami do działalności programowej oraz budżetem w wysokości 350 tys. złotych rocznie. Nie posiada własnego gmachu — jest sublokatorem w budynku stanowiącym własność Prez. MRN i płaci czynsz. Tarnobrzeg: PDK ma 4 pracowników, 250 tysięcy złotych budżetu rocznego i na razie żadnego lokalu, gdyż stary, parterowy budynek, którym dotąd rozporządzał znajduje się w stadium przebudowy (inwestuje „Siaraka”). Kolbuszowa: Parterowy, stary dom o 5 pomieszczeniach i sali widowiskowej — 7 pracowników etatowych — budżet w wysokości ponad 600 tys. złotych rocznie i nadzieja na rozbudowę — dokumentacja podobno już w robocie. Na razie jednak do toalety trzeba brnąć po błocie, gdyż sielskim obyczajem znajduje się ona w szopie za domem.

Prawdziwym kombinatem kultury w porównaniu z wyżej wymienionymi PDK-ami jest placówka w Sanoku. Budżet wynosi tu około 700 tys. złotych rocznie, na etatach pracuje 9 ludzi prowadzących działalność k. o. Własny, piętrowy gmach, duża sala widowiskowa i kilka innych pomieszczeń. Ale i tu, jak skarży się kierowniczka, istnieje dylemat, czy np. sprzątać na wysoki połysk i dobrze opalać budynek, czy jasno oświetlić wszystkie pokoje, czy też korzystać bez ograniczeń z telefonu... Na wszystko razem pieniędzy już nie starcza i trzeba wybierać. Może dlatego korytarze tu ciemne i pełne zakamarków, z polamanymi meblami i wysłużonymi gratami w kątach.

W ogóle zresztą czystością, funkcjonalnością i atmosferą przytulności nie grzeszą te przybytki powiatowej kultury. Nic dziwnego — mieszczą się przeważnie w starych, wysłużonych budynkach byłego „Sokoła” lub kasyn urzędniczych, a więc pamiętających jeszcze czasy cesarza Franciszka Józefa. Stąd wyszczerbione schody, sypanie się tynki, poobijane drzwi, ciemne i wąskie korytarze, czasem wilgoć i grzyb — zawsze zapaszki stęchliny. Kie-

KULTURY

brak jakiegokolwiek sensu w rozwiązaniu całego wnętrza obiektu każe przypuszczać, że PDK-i stały się u nas jakimś niefortunnym wzorcem placówki kulturalnej.

Oby więcej wyobraźni, smaku i szacunku dla kultury wykazali projektanci nowych obiektów w Jaśle i Łańcucie.

MOŻNA by teraz wyliczyć ile i jakiego sprzętu; jakie wyposażenie techniczne posiadają powiatowe domy Kultury dla pełnienia swych funkcji. Ile telewizorów, magnetofonów, wzmacniaczy, mikrofonów, płytoteek, taśmoteek, projektorów filmowych, sprzętu dla klubów filmowych czy fotograficznych — jakie magazyny kostiumów, jakie biblioteki repertuarowe itd. Niestety bilans byłby niezbyt krępujący. Jeden z najbogatszych PDK-ów w Sanoku dysponuje 1 magnetofonem, 1 rzutnikiem, 1 epidiaskopem, płytoteką z recytacjami i biblioteką repertuarową o 2000 pozycji dla pracy instrukcyjno-metodycznej oraz 2 telewizorami, 1 projektorem filmowym, 2 mikrofonami, 3 wzmacniaczami i kilkoma instrumentami muzycznymi dla pracy kulturalnej w środowisku. To bardzo niewiele. W innych PDK-ach jest znacznie gorzej, co zresztą jest zrozumiałe przy takich budżetach. Nie bardzo sobie wyobrażam rozmach, masowość i atrakcyjność, a przede wszystkim właściwe, nowoczesne metody pracy instruktorów przy takim wyposażeniu i co gorsza, kierownicy PDK-ów również tego sobie nie wyobrażają.

Można by również obliczać ilu ludzi przyciągają do siebie PDK-i w ciągu np. tygodnia w swej pracy środowiskowej (członkowie zespołów artystycznych, słuchacze odczytów, uczestnicy kół zainteresowań, klubów itd.) okaże się, że także niewiele.

Z prowizorycznych obliczeń, których dokonałem w porozumieniu z kierownikami PDK-ów wynika, że np. w Brzozowie przewija się tygodniowo przez ten jedyny w mieście ośrodek działalności kulturalno-artystycznej około 300 osób, w Nisku Dom Kultury gromadzi ponad 100 osób (oprócz tego instruktorzy PDK-u prowadzą zespół orkiestry dętej w szkole elektrycznej i zespół teatralny we wsi Bieliny, ze względu na specyficzne warunki pracuje się tam właściwie tylko w terenie), w Tarnobrzegu również ponad 100 osób, w Sanoku w zespołach artystycznych i kołach zainteresowań PDK-u bierze udział kilkadziesiąt osób itd. Rzecz jasna, iż gdyby policzyć także widzów imprez teatralnych i artystycznych w tych do-

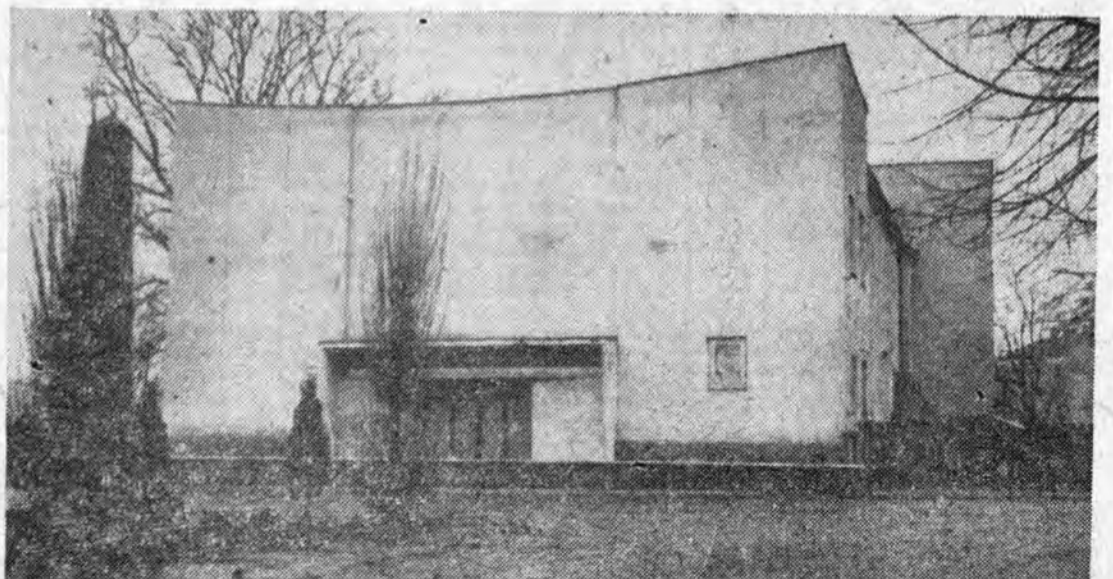
POWIATOWEJ

oświatowej; 2) Współdziałanie ze społecznym ruchem kulturalno-oświatowym i udzielanie mu wszelkiej pomocy; 3) Prowadzenie poradnictwa i podnoszenie kwalifikacji kadr kulturalno-oświatowych powiatu... Program zawarty w statucie jest wprawdzie ogólnikowy, ale zadania, jeśli się je na serio traktuje, nie byle jakie.

NIE mam zamiaru proponować od zaraz budowy nowych i gruntownej przebudowy starych PDK-ów.

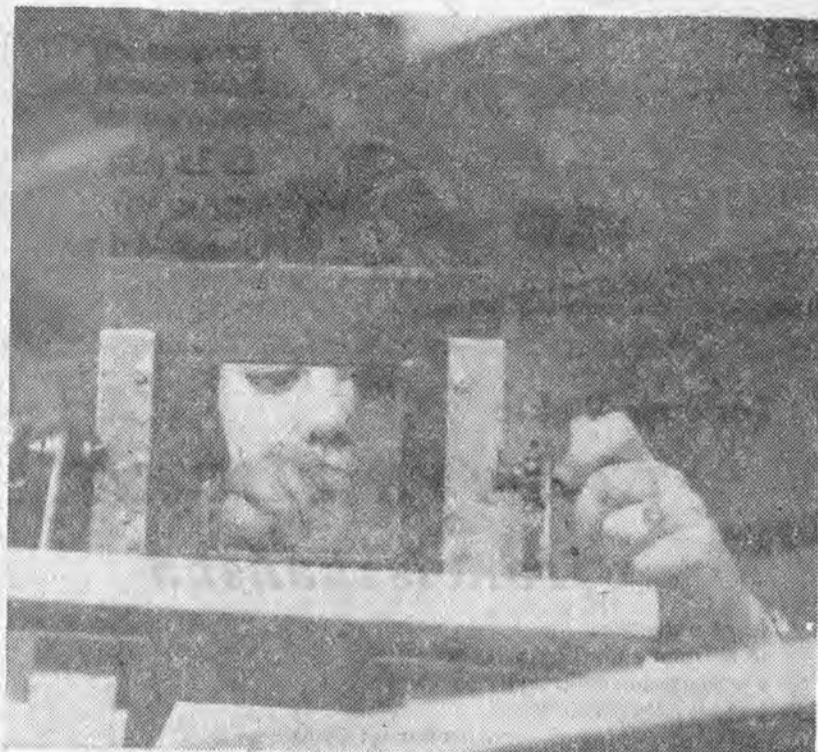
Nie postuluję również zasadniczego zwiększenia budżetów i obsady kadrowej tych placówek, gdyż wiem, że w sytuacji obecnej byłoby to jedynie pobożne życzenie. Chociaż nie ulega wątpliwości, iż od stosunku powiatowych rad narodowych do spraw kultury i jej potrzeb zależy w dużej mierze poziom PDK-ów i warunki ich pracy. O tym, że często jeszcze spycha się te problemy na marginesie życia w powiatach, świadczy wiele faktów. Np. Powiatowy Dom Kultury w

CIĄG DALSZY NA STR. 4



Powiatowy Dom Kultury w Strzyżowie

Fot. M. KOPEC



Montaż ramki pamięci ferrytowej
FOT. R. KOZAKIEWICZ

pozbywając je rynków zbytu, narzucając własne licencje. Nasuwa się istotne pytanie: czy wspomniany turniej jest techniczno-naukową rywalizacją maszyn matematycznych, czy też ludzi, którzy te maszyny odpowiednio zaprogramowali? Na pytanie to nie potrafimy odpowiedzieć; ostatnie doniesienia informowały o przewadze Związku Radzieckiego. ZSRR jest krajem rozwijającej się elektroniki, w sztach zaś obywatele radzieccy święcą od dawna światowe triumfy...

W krajach naszego obozu, drugim i jedynym zarazem po Związku Radzieckim, producentem maszyn matematycznych jest właśnie Polska. Wyroby naszego młodego przemysłu elektronicznego zdobyły już sobie uznanie odbiorców zagranicznych. Maszyny cyfrowe produkują Wrocławskie Zakłady Elektroniczne „ELWRO”. Z licznych opinii o tym zakładzie przytoczę najbardziej chyba kompetentną: zwiedzając „ELWRO”, przedstawiciel amerykańskich kół przemysłowych oświadczył, że każde przedsiębiorstwo amerykańskie mogłoby nam pozazdrościć takiej fabryki i takich fachowców.

Fabrykę ostatecznie można zbudować, ale wyszkolić w ciągu kilku lat taką załogę jest olbrzymim i prawdopodobnie niepowtarzalnym dotychczas sukcesem. Przecież spe-

cy 1,2 mm. Przez każdy z nich przechodzą 4 przewody o przekroju 0,12 mm. Płaty do maszyn wyższej klasy mają 4-krotnie więcej pierścieni i przewodów. Montaż odbywa się ręcznie, trwa kilka dni.

Prześledźmy pokrótce historię „ELWRO”. Zakład powstał w 1959 roku. W roku następnym rozpoczęto prace nad maszyną cyfrową ODRA-1001. Równocześnie przyjęto do produkcji maszynę UMC-1 z Zakładu Konstrukcji Telekomunikacyjnych i Radiofonii Politechniki Warszawskiej, nie zarzucając pracy nad maszynami typu ODRA. Pod koniec 1963 roku przekazano do użytku pierwszy prototyp ODRA-1003. Rok 1964 był początkiem produkcji na skalę przemysłową. Produkowano ODRA-1003, w rok później zakończono montaż prototypu ODRA-1013, a w ub. roku zademonstrowano na Targach Poznańskich ODRA-1204. Ta ostatnia maszyna w porównaniu z ODRA-1013 wymagała rozwiązania 10-krotnie więcej problemów konstrukcyjnych, logicznych czy mechanicznych. Zadaniom tym poddał nie zwiekszony zespół ludzi.

Pierwsza maszyna cyfrowa, UMC-1, wykonywała zaledwie 100 operacji matematycznych na sekundę, ODRA-1003 — już 1000 operacji, ODRA-1013 — 10 tys., ODRA-1204 — 100 tys. W planach ELWRO jest maszyna zdolna wykonać 1 mln operacji matematycznych na sekundę. Nie jest to dużo w porównaniu z maszynami, które produkuje IBM lub które zamierza konstruować Związek Radziecki, ale pamiętajmy chociażby o kolosalnych kosztach badań w tym zakresie, które przekraczają budżety niejednego z państw.

Szczególnie kosztowna jest nowa dziedzina — mikroelektronika. Klasyfikacyjnym sposobem nie można zbudować tak wydajnych maszyn; niezbędna jest daleko posunięta miniaturyzacja, np. nasza ODRE, która jest nieco większa od pianina, będzie można zredukować do wielkości pudełka od zapalek. Oczywiście montaż nie może się odbywać za pomocą rąk, lecz specjalnych urządzeń, kontrolowanych z kolei przez inne urządzenia. Warto jeszcze dodać, że dużym sukcesem polskich konstruktorów jest zastosowanie techniki tranzystorowej; pierwsza polska maszyna cyfrowa UMC-1 była lampowa. Możliwości techniki tranzystorowej są już na wyczerpaniu; dalsza miniaturyzacja wymaga zastosowania wspomnianej już mikroelektroniki.

A teraz słów kilka o ludziach ELWRO, chociaż socjologiczny obraz przedsiębiorstwa wymaga oddzielnego artykułu. Średni wiek 3,5-tysięcznej załogi, w której prze-



ważają kobiety, wynosi 25—26 lat. Na podkreślenie zasługuje wysoki poziom wykształcenia pracowników; wielu z pracujących na taśmie posiada wykształcenie średnie. Kilku inżynierów robi dysertacje doktorskie, a zakład jest dla nich prawdziwym poligonem badawczym. Pozyskiwanie kadry naukowo-badawczej tą drogą da zakładowi duże korzyści. Twórcami maszyn elektronicznych jest grupa młodych inżynierów i matematyków, głównie absolwentów wrocławskich uczelni, którzy wykorzystali dorobek całych pokoleń polskich uczonych.

Międzynarodową oceną fachowości i ambicji załogi jest wypowiedź prof. Antoniego Kilińskiego, kierownika Katedry i Zakładu Budowy Maszyn Matematycznych Politechniki Warszawskiej. Według norm zachodnioeuropejskich, załoga ELWRO zaangażowana w pracach rozwojowych w dziedzinie maszyn cyfrowych jest kilkukrotnie mniejsza od niezbędnej. W krajach demokracji ludowej istnieją instytuty posiadające 10-krotnie większą ilość pracowników badawczych, którzy osiągają wyniki nieporównywalnie mniejsze, ale otrzymują „raz po raz nagrody państwowe dla podtrzymania chęci do pracy”.

Wypowiedź prof. Kilińskiego przytoczam dla udokumentowania, dlaczego Amerykanie zazdroszczą nam takiej fabryki jak ELWRO i jej załogi. Prof. Kiliński twierdzi, że u podstaw sukcesów zakładu leży nie jego baza materialna, lecz „w głównej mierze ambicja, pasja twórcza, zaangażowanie emocjonalne...”

Wspominałem, że polskie maszyny zdobywają rynki światowe, ciesząc się uznaniem zagranicznych użytkowników. Np. w 1963 roku Wę-

CIĄG DALSZY NA STR.

Zdzisław Kozioł

KIEDY „ODRA” ZDOBEDZIE POLSKĘ?

MECZ EPOKI! Międzynarodowy turniej szachowy ZSRR — USA rozgrywają maszyny matematyczne. Skąpe doniesienia agencyjne nie pozwalają na bardziej szczegółowe skomentowanie tej imprezy, z której sprawozdawcami powinni być chyba naukowcy. Niewtajemniczeni uznają ten mecz za jeszcze jeden dowód wszechpotęgi mózgow elektronowych, które podobno mogą poddać wszystkiemu: liczyć, stawiać diagnozy, tworzyć wiersze, a nawet świadczyć usługi matrymonialne. Tak, tak, amerykańskie firmy propagują korzystanie z elektronicznej swatki, która poradzi lepiej niż własny rozsądek czy serce; trzeba tylko wypełnić ankietę, podając takie dane jak wiek, zawód, wysokość dochodu, doświadczenia seksualne...

Ku czemu więc zniezra świat? Jaka będzie rola człowieka, skoro mózgi elektronowe są ponoć mądrzejsze od ludzkiego? Takie postawienie kwestii irytuje fachowców, którzy kwestionują samą nazwę: mózg elektronowy. Irytuje ich również dyletanckie rozprawianie o wszechmocy maszyn matematycznych, możliwości zastosowania elektronicznej techniki obliczeniowej — twierdzą — ukazuje się w karykaturalnej postaci. I żeby ostatecznie pogniebić nazwę: mózg elektronowy, ktoś nazwał tę maszynę „idiotą”, który szybko liczy.

A liczy rzeczywiście szybko. Najpotężniejsza firma elektroniczna — amerykański koncern IBM — zademonstrowała już prototyp maszyny, która dokonuje 3 mln operacji matematycznych na sekundę. Zwią-

żyć tego określenia — ludzkiego rozumu. Jeden z elektroników zapytany czy teoretycznie rzecz biorąc można zbudować urządzenie dorównujące mózgowi ludzkiemu, wygłosił obszerny wykład na temat fizjologii mózgu, a następnie praw fizyki, po czym postawił retoryczne pytanie: jaki architekt potrafi zbudować tak kolosalny gmach, w którym ewentualnie można by zainstalować zestawy maszyn cyfrowych, odpowiadające komórkom ludzkiego mózgu.

Te uwagi przypomniały mi się przy okazji lektury doniesień o turnieju szachowym maszyn elektronicznych. Wiemy zbyt mało, by można coś rozsądnie powiedzieć o tym wydarzeniu. Spróbujmy jednak trochę pospekulować. Amerykański przemysł elektroniczny jest rzeczywiście potężny, prowadzi brutalną walkę konkurencyjną z innymi monopolami elektronicznymi,

czalistów w zakresie elektroniki nie było dotychczas w Polsce...

Pewne wyobrażenie da krótka relacja z jednego z oddziałów produkcyjnych. Gospodarze uprzedzili, że najciekawszy jest montaż pamięci ferrytowej. Idąc na ten oddział, mijamy hale fabryczne z zielenią, kwiatami, akwariami... Pomieszczanie, w którym montuje się pamięć ferrytową jest wydzielone z hali. Pracownicy — mówi jeden z dyrektorów — muszą mieć zapewniony maksymalny spokój. Zdenerwowania może popełnić błąd, a w tej produkcji jakikolwiek brak przekreśla wysiłek setek ludzi pracujących nad maszyną matematyczną.

Pamięć ferrytowa, newralgiczna część maszyny, składa się z dziesięciu płytów pamięciowych. Płat nie jest duży, kwadrat o kilkunastocentymetrowym boku, lecz na tej małej powierzchni trzeba zamontować ponad 1000 pierścieni o średni-

O klubach napisano tomy materiałów, setki reportaży, wiele uwag pozytywnych i wiele krytycznych. Słowem, wokół klubów był niegdysz huk i nie lada. Temat ten podchwytali najlepsi publicyści i spirali się, spirali, spirali... Czy na wsi kluby są, czy nie są potrzebne? Czy kawa jest najlepszym instrumentem postępu? Czym ma być klub? Domem kultury czy świetlicą? Jaka jest jego najbliższa ideała postać?

Te i inne pytania krzyżowały się w dyskusjach, nieraz bardzo ostrych, a życie płynęło swoim torem, a kluby rozwijały się jak przysłowiowe grzyby po deszczu.

Przypomnę tylko najistotniejsze fakty. Jako pierwsze do akcji zakładania klubów przystąpiło województwo gdańskie, a następnie katowickie. Po ich pozytywnych doświadczeniach, zorganizowany już ruch przeniósł się na całą Polskę. Był to rok 1963. Od tej pory minęły zaledwie trzy lata, a liczba klubów idzie w tysiące. W naszym województwie jest ich 638. Jest to więc obok sieci bibliotek najbardziej liczną grupą placówek kulturalno-oświatowych na wsi.

Ich żywiołowy rozwój wynika głównie z dużego zapotrzebowania społecznego na nową formę placówki, powiedziałabym, typu miejskiego; zapal młodzieży, która często czynem społecznym adaptuje lokal dla określonych potrzeb oraz, a może przede wszystkim, działalność organizatorska ZMW, PUPiK „Ruch” i spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu.

Prof. dr J. Chałasiński, wybitny socjolog ocenia ruch klubowy w Polsce tymi słowami: „Wiejskie kluby prasy i książki, kluby gminnych spółdzielni, kluby-kawiarnie, to ruch zaspokajający żywiołowe potrzeby młodego pokolenia wsi, potrzeby powstające w jego kontaktach z miastem. To pokolenie chce mieć możliwość zaspokojenia tych potrzeb u siebie, na wsi. Zacierają się różnice pomiędzy wsią i miastem, różnice odziedziczone po przeszłości. Kawa jest nie tylko doskonałą konkurencją alkoholu,

ale także elementem urbanizacji własnego środowiska wsi. Podobnie jak motocykl, który nie jest tylko narzędziem pokonywania przestrzeni, ale symbolem ambicji, potrzeb i dążeń młodzieży, po prostu elementem nowego stylu życia. „Cytat przydługą, ale jakże celny. Bo co byśmy nie powiedzieli, kluby są wsi potrzebne, „chwyciły”.

Swą kulturotwórczą rolę spełniają one w dwojaki sposób. Lapi-

Henryk Pasławski

KLUBY, KLUBY..

darnie określa ją gospodarz klubu ze wsi Monasterz, pow. Jarosław: „Kobiety mają wiele zajęć domowych, ale nie bronią przychodzić mężom, nawet zadowolone są, bo teraz częściej kupują do domu sło-dyżce, mydła, pasty i inne potrzebne drobiazgi. Sprzedaż ułatwia nie tylko pracę kulturalną, bo wielu przychodził po papierosy, a zostaje np. na otwartym szkoleniu partyjnym”.

Oczywiście, każdy kij ma dwa końce, nie można więc kosztom nadmiernego rozwijania handlu ograniczać działalności kulturalnej. Bo placówka tylko wtedy zasługuje na nazwę ośrodka kultury, gdy prowadzi działalność kulturalno-oświatową. A o tę nam przecież chodzi.

Analiza dotychczasowej działalności klubów wykazuje, że w zależności od możliwości lokalowych, nawyków, tradycji, inicjatywy społecznej, a także aktywności gospodarza klubu różnie kształtuje się charakter pracy.

Warunki lokalowe klubów: — 50 proc. z nich mieści się w jednej izbie, 45 proc. dysponuje dwoma, a zaledwie 5 proc. więcej niż dwoma pomieszczeniami. Jasne więc, że i charakter pracy tych placówek mu-

si być z konieczności rozmaity. Dominują u nas zdecydowanie formy niosące funkcje rekreacyjno-rozrywkowe, tj. formy pracy klubowej, wspólne oglądanie telewizji, słuchanie nagrań, lektura pism. Godna odnotowania jest często spotykana w klubach praca z dziećmi, mimo że na pełne ukształtowanie form tej pracy przyjdzie jeszcze poczekać. Obserwacja działalności klubów dowodzi, że tam gdzie wo-

si być z konieczności rozmaity. Dominują u nas zdecydowanie formy niosące funkcje rekreacyjno-rozrywkowe, tj. formy pracy klubowej, wspólne oglądanie telewizji, słuchanie nagrań, lektura pism. Godna odnotowania jest często spotykana w klubach praca z dziećmi, mimo że na pełne ukształtowanie form tej pracy przyjdzie jeszcze poczekać. Obserwacja działalności klubów dowodzi, że tam gdzie wo-

si być z konieczności rozmaity. Dominują u nas zdecydowanie formy niosące funkcje rekreacyjno-rozrywkowe, tj. formy pracy klubowej, wspólne oglądanie telewizji, słuchanie nagrań, lektura pism. Godna odnotowania jest często spotykana w klubach praca z dziećmi, mimo że na pełne ukształtowanie form tej pracy przyjdzie jeszcze poczekać. Obserwacja działalności klubów dowodzi, że tam gdzie wo-

si być z konieczności rozmaity. Dominują u nas zdecydowanie formy niosące funkcje rekreacyjno-rozrywkowe, tj. formy pracy klubowej, wspólne oglądanie telewizji, słuchanie nagrań, lektura pism. Godna odnotowania jest często spotykana w klubach praca z dziećmi, mimo że na pełne ukształtowanie form tej pracy przyjdzie jeszcze poczekać. Obserwacja działalności klubów dowodzi, że tam gdzie wo-

nawyk przychodzenia do klubu w odświętym ubraniu.

Obok działalności oświatowej i rozrywkowej coraz więcej klubów prowadzi działalność artystyczną, odmienną nieco od tradycyjnych wzorów, bo ewoluującą w kierunku form estradowych, poetyckich. Ten kierunek działalności jest szczególnie korzystny i możliwy dla placówek dysponujących jednym lub dwoma pomieszczeniami. Kluby, które mają większą ilość pomieszczeń prowadzą i prowadzić powinny szerzej pojętą pracę kulturalno-oświatową, o szerszym zestawie form artystycznych, oświatowych i rozrywkowych.

Pisałem wcześniej, że na wynik pracy klubów ogromny wpływ ma społeczna jego rada. Wyolbrana jest ona najczęściej spośród przedstawicieli poszczególnych organizacji politycznych i społecznych, działających w danej wsi, a skład jej zatwierdza Prezydium GRN. Działalność klubów warto się zastanowić czy ta dotychczasowa praktyka jest najszybszą, naborową, praktyczną. Kontrolnie potwierdzają słusne wnioski obserwacji, że większość rad pracuje słabo bądź istnieje tylko formalnie. Kompleks zagadnień po dejmowanych przez rady jest dalece niewystarczający; wiele rad ogranicza swą działalność do nieregularnie odbywanych zebrań, na których poza doradczymi receptami na aktualne bolączki nie wysuwają żadnych prawie koncepcji pracy. I to jest najpoważniejszy zarzut, jaki postawić trzeba radom klubów. Bo co innego można sądzić o dorywczo organizowanej, przypadkowej nieraz działalności? A przecież nie o improwizację chodzi, lecz o rzetelną, przemyślaną, odpowiednio przytowaną miejscowych warunków pracę kulturalno-oświatową.

W tej sytuacji najpilniejszym zadaniem jest usprawnienie, przeorganizowanie nieraz społecznych rad klubów, aby w jej skład nie powoływano ludzi obarczonych wieloma

(Ciąg dalszy na str. 6)



zек Radziecki posiada znacznie młodszy przemysł elektroniczny, lecz planuje zbudowanie zestawu maszyn zdolnych do 8 mln operacji na sekundę. Wielkości przyprawiają o zawrót głowy; może dlatego człowiek obdarza te maszyny mianem mózgu. No cóż, człowiek pierwotny oddawał boską cześć siłom przyrody, bo nie znał ich tajemnic... Możemy ostatecznie nie angażować się w spór czy maszyna cyfrowa jest mózgiem czy szybko liczącym idiotą; mnie osobliwie bardziej odpowiada punkt widzenia polskich konstruktorów maszyn, którzy akcentują przewagę — jeśli można

1947 ♦ W 20 rocznicę śmierci Karola Świerczewskiego ♦ 1967

Nie o każdym śpiewają pieśń,
lecz to imię opiewać będą,
ono potrafi się wznieść
ponad historię legendą.

Niech pomnikiem mu będzie armia
i najwyższy komin przemysłu,
pieśń niech podejmie metalowa tokarnia
i fale płynące Wisłą.

Posłuchajcie, robotnicy, żołnierze
co szumią wiślane fale
o Karolu Świerczewskim - Walterze,
robotniku i generale.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

DZIECIŃSTWO

A w Warszawie nie zabłądziłście? — przeskoczył generał na temat stolicy.

— Gdybym mieszkał w Warszawie krócej, zapewne był błędzi. Orientować się można tylko z pamięci. Tyle gruzu.

— W rejonie mojej Kaczaj byliście może? — Przy tym pytaniu generał zatrzymał się i patrzył mi jakos miękko w oczy.

— W tym rejonie nie byłem, przynajmniej nie widziałem, że interesuje obywatela generała.

— Prawda. Nie miałem czasu wam tego powiedzieć. Urodziłem się na Kaczaj 6. Na ulicy Chłodnej była cukiernia Sommera. Tam biegaliśmy jako dzieciaki popatrzyć na ciastka w oknie. Naturalnie o kupnie nie mogło być mowy. Było nas w domu siedmioro. Ojciec choć był gisierem w fabryce amatur Gwiżdżńskiego na Koszykowej, nie zarobił na ciastka dla nas.

Chodził chwilę zamyślony. Ciekawość mnie szczegóły rodzinne, ale nie miałem przerwać zadumy generała.

— To już 30 lat mija jak wyjechałem z Kaczaj. Z miejsca urodzenia, w szeroki świat. Matka moja pochodziła ze wsi podwarszawskiej, Antonina Jędrzejewska z domu. Ojcu na imię było Karol. Było nas wiecej dwóch Karolów w domu. Po ukończeniu szkoły powszechnej — a chodziłem na róg Smoczej i Nowolipki — poszedłem z ojcem do fabryki na naukę tokarstwa metalu. Nie zagrzałem miejsca u Gwiżdżńskiego. Płacił marnie. Zaraz po śmierci ojca w 1912 roku przeniosłem się do Gerlacha. Trzeba było zarobić na nasze utrzymanie. Matka szyla dla zarobku w domu. Po znajomości przynosiła z fabryki Fragata łyżki do polewania. Roboła głupia, ale wygodna. Matka robiła swoje, a my, dzieciarnia, mordowaliśmy te łyżki. Ile rodzeństwa było u was w domu? — zagadnął mnie niespodzianie.

— Dziesięcioro, obywatelu generale. Ja najstarszy z nich.

— No, to wiecie, ile to taki starszy ma obowiązków domowych. Ja byłem

wprowadzić trzech w rodzinie, ale najstarszy z trzech braci. Siostry Henia i Leonia tworzyły zespół z matką. Moja brygada, to Luayna, Zosia, Maks i Tadek.

— I oprócz Gerlacha i łyżek były gromadne wyprawy pod cukiernie Sommera — wtrąciłem.

— Doszło jeszcze coś ważniejszego. Chodziłem do szkoły wieczorowej na ul. Składowa. Szkołę prowadziło Muzeum Rzemiosła i Sztuki Stosowanej. Tam zdołałem naukę ukończyć przed wyjazdem z Warszawy w 1915 roku.

— Czyli w czasie pierwszej wojny światowej — zauważyłem.

— Właśnie. Gdy Niemcy podchodzili wówczas pod Warszawę, fabrykę Ger-

lacha ewakuowano do Rosji. Na prośbę dyrektora wyjechała cała nasza rodzina z tym transportem.

★

— A przywitanie z Kaczaj dopiero teraz będzie, obywatelu generale?

— Już było. Wyrzuciłem was i Waszkiewicz. Pojechałem z siostrą Zofią i podpułkownikiem Pszczółkowskim. Nie mogłem czekać dłużej. Tak. To już tyle lat. I tak okropnie zniszczona jest Warszawa... Dużo nas czeka pracy, żeby ją odbudować. I nie tylko Warszawę.

MICHAŁ KASEJA

(„Razem ze Świerczewskim”)

POD BUDZISZYNEM

24 kwietnia o godzinie 6.30 ruszył nakazany przez dowództwo Frontu atak naszych i radzieckich sił na Budziszyn. Tak dużego miasta jak Budziszyn, zajętego przez dywizję pancerną, wziąć niejako wstępny boj nieczęsto się udawało. Nie udało się i tym razem. Atak ten wywołał natomiast natarcie Niemców w kierunku Klein Welka.

Duża przewaga czołgów niemieckich odrzuciła nasz atak i parła na piętach piechoty cofającej się w naszym kierunku.

Ruch piechoty do tyłu zauważyłem z okna. Najpierw biegły pojedyncze postacie, zgarbione, w nerwowych, krótkich skokach do tyłu wzdłuż toru kolejowego. Wkrótce ruszyła już liczna, bezładna tyraliera do tyłu.

— Pułkownika Gabera pilnie wzywa do siebie dowódca — przekazałem telefonicznie.

— Patrz — zwrócił się generał do uchodzącego, wskazując odwrót. — Zatrzymaj ich własnymi środkami! Poza tym zaminuj drogi na północ. — Generale Sankowski, dowódca będzie z wami mówić — uprzedziłem telefonicznie szefa sztabu armii.

— Od Budziszyna idzie natarcie. Piechota się łamie. Natychmiast wysłajcie oficerów sztabu mających autorytet i doświadczenie bojowe, tu, do mnie. Musimy zatrzymać cofających się wszelkimi sposobami. Pilne. Rozumiecie?

Rozkazy te zostały wydane bez oznak zdenerwowania czy gwałtu. Spokojnym, aczkolwiek stanowczym tonem. Tylko ruchy prawego barku, jakby poprawiające spadającą szelkę, były częstsze.

— Wyjdziemy, pułkowniku!

Generał Świerczewski założył pas, wcisnął na głowę srebrną obszartą czapkę, wydawało mi się, że głębiej niż zwykle, i wyszliśmy na drogę przed budynek.

Wokół stuchało było strzelanie z wszelkich broni. Tu i ówdzie przemykały postacie do tyłu. Przybiegali oficerowie ze wszystkich oddziałów sztabu armii. Przeważnie uzbrojeni w pepeszkę, pistolety, granaty. Twarze poważne, skupione. Na pierściach liczne odznaczenia bojowe, odznaki za rany.

— Oficerowie! Odwrótu nie ma! — rozkazał generał Świerczewski. — Gabeber minuje za nami. Musimy podtrzymać walkę piechoty. Zawracamy wszystkich! Aż do przedniego skraj!

Gęsta tyraliera oficerów ruszyła z generałem w stronę Budziszyna. Wkrótce odwrót się nasilił. Wystraszona, zżalona postacie piechurów coraz większymi grupkami wpadały na naszą tyralierkę.

„Padnij” to najsukcesywniejsza w takich wypadkach komenda. Wykonana była podświadomie, wywołując instynktownie uczucie większego bezpieczeństwa w tej pozycji.

Nie wszędzie można było uzyskać postuch tylko słowem. Grzmiały wystrzały czołgów, rwały się granaty niemieckie. Gwiżdżały roje wiązek pocisków, stane ku nam z karabinów maszynowych. Leciały dachówki i odpryski muru na nasze głowy.

— Naprzód! Na skraj wsi! Tam nie ma cegieł — wołał generał. — Naprzód! Ognia do wroga! Za Warszawę! Za okupację! Za naszych pomordowanych! Chłopcy, celujcie dobrze!

Generał nie schylił się ani razu. Nie biegł. Szedł wyprostowany, jakby nie-



dbały na wszystko, co by mu mogło grozić.

— Skoczcie no w tę tam uliczkę! Próbuje nas omijać — zawałot w stronę płk. Krzyżanowskiego i grupy jego oficerów.

— Poruczniku! — zabrzmiało twardej niż zwykle. — Gdzie są wasi ludzie? Gdzie jest nieprzyjaciel? Jaki dajecie przykład? W tył zwrot! Biegniem marsz!

Oficer zawrócił zawstydzony. Dochodziłymi do południowego skraju wsi. Widać było dymy wystrzałów i eksplozji. W oddali majaczył Budziszyn. Z rzadka, ale bardzo celnie były nasze ciężkie czołgi. Grzyby czarnego dymu zakwitły nad nacierającymi czołgami nieprzyjaciela. Coraz liczniej włączano się do akcji nasze maszyny. Coraz leniwiej były skoki Niemców. Czołgi ich raczej manewrowały niż nacierały. W okopach pod wsią, twarzą do pola walki, zapadły tyralierzy 34 pułku i oficerów sztabu. Nad głowami szumiała salwa ciężkich pocisków, wyrzuwając fontanny ziemi u Niemców. Druga, trzecia baterija... Nasza druga dywizja artylerii! Z lewej naszej strony, w kierunku Szprewy było słychać ciężkie dudnienie.

To nasz korpus pancerny dzielnie stawiał czoła w przepaw na rzecę. Blżej nas błyskały wystrzały dział artylerii przeciwpancernej. One to były głównym celem niemieckich czołgów. Nie miały pancerza jak nasze wkopa-

ne czołgi. Chroniła je tylko warstwa ziemi, która celny pocisk nieprzyjacielskiego czołgu łatwo przebijal.

— Przyslijcie mi pilnie Willysa. Zostańcie na punkcie obserwacyjnym. Gdyby mnie potrzebowali, powiedzcie, że rzycho wróć — rozkazał mi generał.

Od naczynych świadków, mjr. Janusza Bobkowskiego i kierowcy Willysa, wiem, że generał Świerczewski pojechał do baterii artylerii przeciwpancernej. Do tych najzjadliwej zwalczanych przez niemieckie czołgi. Tam spokojnym głosem, jakby to było na poligonie, zachęcał artylerzystów do celniejszego ognia! Zawsze nie kryjąc się, nie kłaniając się kulom...

O dziwo! Umorusane, złane potem postacie kanonierów, patrząc z najwyższym podziwem i uwielbieniem na postać generała Świerczewskiego, naprawdę poprawiły swą celność. Wciąż nowe i nowe rosy piorunujące smolistego dymu w linii niemieckich czołgów.

Zwahało się natarcie wroga. Tylko 600 metrów dzieliło naszą obronę od czoła nacierających. Spokojniejszy, celny ogień wszelkich broni wywarł jednak wrażenie na nieprzyjacielu. Za każde poderwanie się atakujący płacili trupami, rannymi. Piechota niemiecka chwyciła za łopatki; czołgi, manewrując, wycofały się.

MICHAŁ KASEJA

(„Razem ze Świerczewskim”)

Rozsumiała się pieśń Października,
rozsumiała się wiątrzy stepowe...
Poszedł Karol na ochotnika
na fronty wojny domowej,

bo wszędzie, gdzie walczą wołni
o chleb i o warsztat pracy,
tam krwawymi drogami wojny
maszerują z innymi Polacy.

W rękę wrócił mu chwyt karabinu,
krok miał sprężysty, twardy,
szedł przez Rosję i Ukrainę,
szeregowie Czerwonej Gwardii.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

GENERAL WALTER

Pamiętam, był to chyba styczeń albo luty. Jechałem autem do Walencji i miałymy posterunki wysunięte nad ową Jarama. Przeglądano nasze papiery. Oficer inspekcyjny, młody robotnicarz z Madrycie, ucieszył się widząc mój. „O, pan jest Polakiem! Bo nasz generał jest też Polakiem. Pan wie, nasz generał: generał Walter”.

Pod Jarama, a potem pod Teruelem, a potem na froncie aragońskim, tuż u bram tej Saragossy (gdzie to inni bohaterowie z Zeromskiego, wszelakie Cedry, Olbromscy, Michelki), generał Walter dowodził 35 brygadą, złożoną z formacji polskich, francuskich, angielskich, włoskich, niemieckich, jugosłowiańskich, o hiszpańskich nie wspominając. Miesiące, lata, samotana się i trudność. Republice nie pomaga nikt: faszystowski generałom — pół świata. Republice brak wszystkiego: tamci mają wszystko. Rewolucyjny generał musi pamiętać naraz o żywności, o odzieży, o środkach sanitarnych, o wyszkoleniu nowych kadr oficerskich, o umocnieniu, o dyscyplinie, o zapale. Jego armia nie stoi drylem, przysięga, salutowaniem, rytuałem. Jego armia potrzebuje świętego wędzaka zastrzyku entuzjazmu, oporu, nadziei, przekonania i właśnie jej dowódca musi nie tyle rozkazywać, co przekonywać. W dodatku jest to przedzie zbieranina różnych narodów, warstw różnych, robotniczy, malarzy, inteligentów, wykolejeńców, politycznych wyznawców. Jakże do nich przemówić? Jak bronić, by wszyscy nad Elbrem rozumieli tego generała urodzonego nad Wisłą, wychowanego nad Wolę? A jednak, wbrew cniemu światu, front hiszpański trzyma się do wiosny 1939. Prawie cztery lata.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Prosto z lotniska w Rzeszowie mieliśmy jechać maszynami do sztabu. Ale gen. Świerczewski kazał sferoferowi skrócić w boczną ulicę, prowadzącą do koszar pułku. Taki już był „łata — Świerczewski” (jak nazywali go żołnierze), że lubił spadać jak deus ex machina nagle i niespodzianie na nieuprzedzone jednostki wojskowe. Gdy wysiadłszy z aut wchodziliśmy w bramę koszar, a przeciągły okrzyk posterunku „warta pod broń” porwał na nogi gromadkę żołnierzy z karabinami. Generał, pomrukując z zadowoleniem powiedział: — A widziecie, zaskoczenie daje najlepszą gwarancję powodzenia... — po czym krzyknął w stronę biegnącego na łeb na szyję oficera inspekcyjnego: — Prowadźcie nas do kuchni porucznika!

Trzeba go było widzieć, jak stał nad buchającym parą kotłem i ściągawszy z dłoni rękawiczkę próbował z metalowego talerza żołnierskiej zupy. Zaczął następnie wypytywać kucharzy o sposób gotowania, ilość zużytych produktów, czasy posiłków, stan pieca i kotłów z taką znajomością rzeczy, że tamci aż potwiercali głęby. Zaczęli udzielić im kilku fachowych rad, które pogrążyły kucharza i jego pomocników w kompletne osłupienie, zganili jeszcze sposób wypieku chleba i rozkazał podawać smażone śledzie zamiast solonych: — Ja sam, rzekł — gdy byłem prostym żołnierzem nienawidziłem solonych śledzi, a lubiłem ob smażane. Po solonych śledziach chce się pić. Więc pozostajemy przy tych smażonych...

Gdyśmy wyszli z kuchni na podwórko, powitały nas dziewczki generalskiego marsza. Pułk uszykowany w dwusereg przyszył się na „prezentuj broń”. Na samym końcu orkiestry rosły dobosz wywijający potężną pałką. Zastępca

dowódca pułku salutował szabłą i mel dowal grzmiającym głosem.

Ujrzałem na twarzy Generała wyraz zaciekawienia. Przeszedł z wolna przed frontem ze spuszczoną głową. Jakby

Z ostatniej inspekcji

się nad czymś zastanawiał. Wreszcie, gdzieś w trzech czwartych długości dwuseregu zatrzymał się. Orkiestra przestała grać. Generał Świerczewski podszedł z wolna do pierwszego z brzo gu strzelca, który wciąż jeszcze prezentował karabin. Rozkazał dać „na ramię” i „do nogi broń”. Zapytał żołnierza o imię, nazwisko i pochodzenie; własnoręcznie rozpiął na nim płaszcz. Chwilę mozolił się z haftkami ciasnego munduru. Rozchylił kołnierz strzelca.

— Bieliznę masz czystą. A kiedyś był w łaźni?

— W sobotę panie generale — służbiście odpowiedział żołnierz.

— No to pokaż karabin.

Wziął karabin strzelca, szybko wyjął zamek i spojrzął pod światło. Objeżdżał lufę z jednej i z drugiej strony, po czym uczynił ramionami swój charakterystyczny gest zadowolenia: karabin był czysty. Przez kilkanaście minut rozmawiał Generał z żołnierzami dwuseregu, wypytywał, sprawdzał umundurowanie, stan butów, bielizny, czystość broni.

Na podwórku koszarowym, tuż przy bramie bloku, mineliśmy się z grupką żołnierzy. Nagle Generał przywołał do siebie jednego z nich.

— Kulejcie — stwierdził autorytatywnie.

— Ja, panie generale? skądże — bronił się strzelec.

— Kulejcie, widzę przecież, że was but uciska. Prawy. Gdzieś pod

Z ostatniej inspekcji

palcami. Gwoździe, co? A no zdejmcie!

— Panie generale, kiedy wcale...

Zdejmcie, zdejmcie! Szybko! Żołnierz zdjął but. Generał zdjął rękawiczkę, wziął but do ręki i zaczął gorliwie macać palcami wewnętrzny przyszyw.

— No widzisz synu. Masz gwoździe w bucie. Nie spłotowane. A tak nie można. Nogi sobie zniszczysz. Kto podkuwał ten but?

W kilka minut później zasapanym siewe pułkowy tłumaczył się gęsto przed Generałem.

— Gdzieś, na jakiejś klatce schodowej spotkał Generał człowieka odzianego w półwojskowe ubranie.

Generał broni Karol Świerczewski, ur. 22. II 1897 r., bohater walk o wolność Polski z faszystem, dowódca II Armii, wiceminister obrony narodowej — poległ pod Sanokiem od skrytobójczych kul faszystów ukraińskich w dniu 28 marca 1947 roku.

Wieczna chwała Wielkiemu Patriocie, Dowódcy i Żołnierzowi.

(Napis na płycie nagrobnej)

ZBIGNIEW RAWICZ
(„Żołnierz Polski — 1947”)

Kiedy „Odra“ zdobędzie Polskę?

(Ciąg dalszy ze str. 2)

gry zakupiły UMC-1, która — zainstalowana w Urzędzie Statystycznym — do dnia dzisiejszego pracuje ku zadowoleniu nabywców. Jedną z maszyn typu Odra pracuje w czeskosłowackim szpitalu, oddając nieocenione usługi w diagnostyce.

Prawdziwy sukces odniosło ELWRO na międzynarodowej wystawie środków mechanizacji prac inżynierskich, administracyjnych i zarządzania pod nazwą „INTERORGTENICE-86“, która latem ub. roku odbyła się w Moskwie. Około 1000 firm z 18 krajów prezentowało ponad 24 tys. eksponatów. Była to największa impreza, w której uczestniczyło ELWRO; eksponowane ODRY 1013 sprzedano „na pniu“, otrzymując zamówienia na dalsze.

Przykłady można mnożyć, lecz odnotujmy wypowiedź dyrektora naczelnego ELWRO mgr inż. Stefana Ryłskiego, który twierdzi, że Polska choć jest producentem maszyn elektronicznych, pod względem ich zastosowania pozostaje daleko w tyle za innymi krajami. Więcej maszyn zainstalowali nasi południowi sąsiedzi, mimo że kraj znacznie mniejszy. Mało chłonny rynek wewnętrzny ogranicza nawet rozmiar produkcji maszyn.

Czy są szanse na szybsze wdrażanie elektronicznej techniki obliczeniowej w naszym kraju? Pisałem niedawno o jej entuzjastach w Rzeszowskim, którzy skupieni są wokół prof. dra Jana Woźniackiego z Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Entuzjaści wychodzą naprzeciw inicjatywom rządowym; w Polsce powołano urząd Pełnomocnika Rządu ds. Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. Dużym krokiem naprzód jest zorganizowanie wojewódzkich stacji obliczeniowych, ale to wszystko nie podważa jeszcze opinii dyrektora Ryłskiego, który mówi o zacofaniu naszej gospodarki pod tym względem. Nasze ODRY nie zdobyły jeszcze rynku wewnętrznego na skalę imponującą.

A już pierwsze doświadczenia wykazują obrzydliwie korzyści z zastosowania maszyn cyfrowych. Polscy geolodzy wiercą ziemię na głębokość kilku kilometrów, co jest przedsięwzięciem niezwykle trudnym. Przy drążeniu otworów często zrywa się przewód wiertniczy. By zastosować odpowiednie urządzenia trzeba poznać współzależność między 11 różnymi parametrami, jak np. gatunkiem skał, ilością obrotów świda, materiałem, z którego jest wykonany, ciśnieniem. Wyczerpana metoda konwencjonalną zajęłaby kilka tygodni, a poznanie całości problemu — kilka lat ODRA-1013 dokonała tych obliczeń w 120 sekund, a jej zaprogramowanie zajęło 24 minuty.

Maszyna cyfrowa — zainstalowana w Dolnośląskim Biurze Projektów Górniczych — wykorzystywana jest w pełni na dwie zmiany. Własny ośrodek obliczeniowy pozwolił DBPG podnieść poziom opracowań przez pogłębienie analiz teoretycznych i przyspieszenie obliczeń.

Nie będę pisał o korzyściach, jakie elektroniczna technika obliczeniowa przynosi np. w usprawnianiu zarządzania przedsiębiorstwem. Wspominać tylko, że za ostatnie sto lat wydajność robotnika przemysłowego wzrosła o 1400 proc., biurości zaś w przedsiębiorstwie o niecałe 20 proc.

Dlaczego więc z takimi oporami wprowadza się maszyny cyfrowe? Jeden z dyrektorów, człowiek młody choć od 6 lat kieruje dużym przedsiębiorstwem, twierdzi, że miły wokół maszyn odstrasza od ich wykorzystywania. — Po co na przykład — mówi — używać angielskiej nazwy: komputer, po co straszyć ludzi, że ten demoniczny twór zdemaskuje wszystkie niedomagania zakładu, obnaży słabe strony kierowników...

Jeden zaś z głównych inżynierów, po wykładzie na temat elektronicznej techniki obliczeniowej, zapytał, ile czasu potrzeba na zorganizowanie zakładowego ośrodka obliczeniowego.

— Rok, do półtora.

— Nic z tego, nie mam zamiaru wysłać się, by przygotować grunt następny...

Tych psychologicznych oporów lekceważyć nie należy, chociaż nie one są jedynym hamulcem.

ZDZISŁAW KOZIOL



RYTMY

Fot. J. LIGĘZA

Dylematy powiatowej kultury

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Brzozowie mogłyby otrzymać dużą sumę na gruntowną renowację i unowocześnienie z budżetu Wydziału Kultury Prezydium WRN, gdyby władze miejskie przekazały na własność PDK-u gmach dawnego „Sokoła“, w którym ta placówka wynajmuje pomieszczenia. Niestety, Prezydium MRN traktuje jedyny w swoim mieście obiekt masowej działalności kulturalnej jako lokatora, który płaci czynsz i nie chce się pozbyć swej „realności“, uszczuplił swego stanu posiadania. Trudno nazwać taką postawę zrozumieniem i poparciem dla spraw kultury w mieście. Podobna sytuacja istniała kiedyś w Strzyżowie — przez parę lat trwały targi o gmach dawnego „Sokoła“, który WZKiń chciał przejąć od miasta i zbudować tam nowoczesne panoramiczne kino oraz pomieszczenia dla Powiatowego Domu Kultury. Tak jak gdyby inwestor chciał miastu zabrać budynek i wywieźć go na taczkach. W budżecie Wydziału Kultury Prez. PRN w Tarnobrzegu na rok bieżący nie przewidziano ani grosza na imprezę Dnia Działacza Kultury. Widocznie uznano, że pracownicy k. o. w dniu swojego święta nie zastępują nawet na filiżankę kawy czy wiązanek kwiatów. W Lesku kierownik Powiatowego Domu Kultury nie może uzyskać mieszkania. Przykłady traktowania „przez ramię“ kultury w powiatach można by mnożyć. Dodać trzeba, iż władze powiatowe często oceniają pracę PDK-ów wyłącznie na podstawie imprez przygotowywanych na uroczystości i akademie, jakby to był główny czy jedyny kierunek pracy artystyczno-kulturalnej.

Na pewno życzliwość, poparcie i pomoc dla kultury, których mamy prawo oczekiwać od władz w powiatach po Kongresie Kultury Polskiej, ułatwi warunki pracy placówek kulturalnych, ale nie zlikwiduje wszystkich przeszkód.

W OBECNYM układzie rzeczy należy zastanowić się nad ustaleniem nowego, realnego programu działania powiatowych domów kultury. Skoro fikcją są trzy kierunki, które cytowałem z ramowego statutu PDK-ów przy istniejących warunkach finansowych, lokalowych i kadrowych, należy — zależnie od potrzeb miejscowych zdecydować się na jeden. Zarysowuje się tu alternatywa: Powiatowy Dom Kultury jako wzorowa poradnia służąca instruktazem artystycznym i metodycznym wszystkim placówkom w powiecie, dostarczająca im repertuaru, wypożyczająca sprzęt techniczny, płyty, taśmy magnetofonowe, kostiumy — i równocześnie jako miejsce spotkań członków najrozmaitszych klubów zainteresowań i towarzyszy kulturalnych. Ten model można by zastosować w miastach powiatowych, w których istnieją także inne placówki pracy k. o.

(kluby fabryczne, zakładowe domy kultury, świetlice czy kluby młodzieżowe). W takiej sytuacji PDK nie byłoby zobowiązany do rozwijania działalności środowiskowej koncentrując cały wysiłek na pracy w powiecie. Ale warunkiem prawidłowej pracy takiego modelu PDK-u byłoby inne niż dotąd wyposażenie placówki w nowoczesny sprzęt do pracy k. o. i zapewnienie mu kadry w pełni kwalifikowanych i odpowiedzialnych instruktorów.

I możliwość druga — PDK jako centrum życia kulturalnego miasta — ognisko kultury teatralnej, muzycznej, tanecznej i plastycznej — miejsce pracy zespołów amatorskich i aktywnej działalności oświatowej dla środowiska — ośrodek wypoczynku i lekkiej atrakcyjnej rozrywki — słowem obiekt skupiający w sobie całokształt życia artystycznego i kulturalnego. Takiego Domu Kultury potrzebuje Kolbuszowa, Nisko, Lesko, Lubaczów, gdyż istniejące tam PDK-i tej roli nie spełniają z przyczyn, o których mówiłem wyżej. Ale wtedy trzeba jednak w takich miejscowościach zapewnić odpowiednie warunki lokalowe i wydatnie zwiększyć budżet placówki.

O CZYWIŚCIE wszystkim nam się śnią piękne, nowoczesne i wielkie pałace kultury w każdym mieście powiatowym, o licznej kadrze znakomicie przygotowanych do swych zadań pracowników i milionowym budżecie. Czy to jest w naszej sytuacji gospodarczej aż tak niemożliwe, by trzeba było między sny włożyć? A gdyby tak skumulować wszystkie fundusze, które wydajemy na działalność kulturalną w różnych pionach, resortach, szczeblach, i jak tam jeszcze się pięknie zwą? Wiem, że mówić o koordynacji to ani odkrywczym, ani oryginalnym, a jednak chcę o niej aż do znużenia... W wielu miastach, choćby w Sanoku istnieje kilka ośrodków pracy k. o. — w każdym kilka etatów, kilkaset tysięcy złotych budżetu, własne lokale i właściwie tej rozdrobionej, zacieśniającej się do pewnych kręgów środowiskowych działalności kulturalno-artystycznej w mieście nie widać. Jakżby wspinały gmach można zbudować, gdyby odejść od zasady „każdy sobie“... gdyby porzucić względy ambicjonalne resortu, związku czy pionu. Wiem, że obecnie trudności jest wiele — brak przepisów prawnych umożliwiających praktyczną realizację tego postulat — brak przykładów z góry (koordynacja winna się rozpocząć na szczeblu centralnym, a nie w powiecie), ale wierzę iż kiedyś zorientujemy się, iż to jedyna droga, w epoce kultury masowej, do nowoczesnej pracy kulturalno-oświatowej.

Ale to jeszcze sprawa przyszłości. Na razie należy zrobić wszystko co można, by powiatowe domy kultury nie były ubogimi kramkami handlującymi kulturą na dekagramy, by istotnie stanowiły centrum życia artystycznego i umysłowego naszych miast. A może działacze kultury i pracownicy k. o. widzą jeszcze inne możliwości wyjścia z impasu? Widokrąg czeka na propozycje.

JAN GRYGIEL

Felieton literacki

MIESZANKI FIRMOWE

Uczestniczyłem ostatnio w kilku imprezach uzupełnionych występami amatorskich zespołów, recytujących wiersze polskich poetów. Były to występy dżwone. Nie będę pisał o wykonawstwie, było ono różne: lepsze, gorsze, bardziej lub mniej przekonujące. Na uboczu zostawiam występy laureatów ogólnopolskiego konkursu recytatorów — są to artyści dojrzały, niezwykły wręcz w podawaniu tekstów, z którymi jesteśmy obcy od lat. To oni odkrywają „nowe lądy wruszeń“ i przeżywać estetycznych.

Podczas imprez, o których mowa, raczone słuchaczy tak zwaną „mieszanką firmową“ i ta jest wręcz zaskakująca. Tylko ludzi wyrozumiałych może ona śmieszyć: mniej wyrozumiałych ten proceder musi gniewać, ponieważ graniczy z działaniem na szkodę kultury.

„Mieszanka firmowa“ składa się z jednego większego lub mniejszego poematu, skleconego z pokawałkowanych i rozdartych licznymi wierszami różnych poetów. Kawałki te, pocięte, pokiereszowane, zsy-

wine na nowo, zespala się na najdziwniejszych zasadach: raz będzie to zasada kontrowersyjnego układu treści, innym razem zespala się te kalekie czony na zasadzie dyskusji i podziału funkcji treściowych pomiędzy odrębne części tego nowego tworu. Jeszcze innym razem ideowa spójnia całości powstaje — w mniemaniu autora montażu — na podstawie zasilania jednych zwrotek jakiegoś utworu innymi strofami, wywodzącymi się z najprzeróżniejszych dzieł poszczególnych twórców. Powstałe w ten sposób twór dziwny, zaskakujący, szokujący. W pewnej chwili wydawać się może, że dla prawidłowego, uczuciowego oddziaływania rewolucyjnych wierszy Broniewskiego zachodzi potrzeba wsparcia tych wierszy kilkoma zwrotekami zaczerpniętymi z wierszy Staffa, z różnych utworów tego poety, wstawionych pomiędzy rozdzielone strofy autora „Dymów nad miastem“. Innym razem liryczna strofa Iwaszkiewicza musi zostać podparta — tak mniemam „autor“ montażu — jeszcze paroma zwrotekami, na przykład Różewicza. Niedawno słyszałem utwór, jeden wspólny poemat, złożony z pokawałkowanych strof Broniewskiego, Staffa, Iwaszkiewicza, Różewicza, Tuwima i Marii Jasnorskiej.

Zabito szereg wspaniałych wierszy, słuchaczom zaprezentowano kikuty, pokręte resztki czegoś, co kiedyś było samodzielnym, żywym, wspaniałym dziełem: samodzielne dzieło poety pokaleczono i podporządkowano „nadrzędnej“ idei autora montażu i w tej chwili zupełnie bez znaczenia jest fakt, jaka to była idea. Czymkolwiek by się autor montażu kierował, do czegokolwiek by zmierzał, na powstanie jego „dzieła“ złożyły się rozdarte i okaleczone utwory pisarzy polskich.

Jeżeli wiersz Broniewskiego, Iwaszkiewicza, Tuwima, Jasnorskiej, Różewicza podobał się autorowi montażu, po co sprawił swoim zabiegiem to, że powstało coś, co przestało być poszczególnym wierszem, a co — przez zwykły zabieg dodawania lub odejmowania — nie stało się dziełem, które można by przyjąć bez wzdęcia, i tylko ostatni członek poprzedniego zdania jest ważny: dzieła sztuki nie powstają przez łączenie, przez dodawanie lub odejmowanie. Jeżeli nie wżrusza Broniewski jako Broniewski, Iwaszkiewicz jako Iwaszkiewicz, Jasnorska jako Jasnorska, co jeszcze pozostaje do zdziałania? Co jeszcze pozostaje osobie, której się wydaje, iż przez opisane czynności stwarza wartości nowe, lepsze, godniejsze uwagi, ładniejsze od tych, na których dokonano drastycznej operacji?

Rezygnacja z tak „chwalebnie“ pojętej działalności kulturalnej! Bo nie o dzieło pisarza chodzi głównie: ono i tak się obroni. Chodzi o odbiorcę. A więc trzeba skończyć z takimi praktykami.

STANISŁAW WYGODZKI



Nie ulega wątpliwości, że moda na Afrykę nie zrodziła się z niczego. Działają tu ożywione stosunki z afrykańskimi krajami, obejmujące coraz to nowe dziedziny obopólnej wymiany.

Nie bez decydującego wpływu są stale rozwijające się i unowocześnione środki komunikacji. W związku z Międzynarodowym Rokiem Turystyki, któremu świat poświęca obecnie tyle uwagi, warto przypomnieć, jak bardzo nowoczesny transport zmniejsza odległości dzielące nie tylko różne kraje, ale i poszczególne kontynenty. Wszak w ciągu jednego popołudnia pokonujemy drogę z Warszawy do Nowego Jorku. Gdy chwila czasu pozwoli, oglądnijcie efektywny plakat Air-India w rzeszowskim „Orbisie“, który dowcipnym rysunkiem i atrakcyjnym napisem reklamuje podróż do Nairobi. Tak odległe bowiem przedsiębiorstwa lotnicze wykazują z dziedziny propagandy swych usług nieporównanie więcej handlowej inicjatywy aniżeli np. nasz „LOT“.

W sumie więc nie można się zbyt dziwić, że moda na Afrykę wtargnęła do dziedziny jak najbardziej obyczajnym wpływom ubiegłej — do mody damskich (przede wszystkim) strojów. Skoro obecnie odzież obowiązkowo nieomal odzwierciedlać winna tendencje stroju afrykańskiego, zdarza mi się odpowiadać na zaintrygowane pytania przyjaciółek, znajomych niewiast

„bywałych“ w innych częściach świata, a nie akurat na afrykańskim kontynencie — powiedz co zrobić, by wyglądać na a z a s i e ?

— Rzetelna odpowiedź: — nie dać się zwariować, wrobić w konia, czy w tybim konkretnym wypadku w l w a, w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Warto więc, sięgając do własnych obserwacji doradzić to i owo, bo przecież zbliża się polska wiosna. „Dni Rzeszowa“, Rzeszowskie Spotkania Teatralne, nie mówiąc już o dorocznym Dniu Muzyki Kameralnej w Łańcutcie, gdzie spora kolekcja afrykańskich zobowiązań nieomal nasze elegancji do wyteżonych starań w kierunku prezentacji modeli jakoby „prosto z Afryki“.

A więc osławiony kostiumik „s a f a r i“, bez którego, jak twierdzą autoritatywne nasze dyktatorki mody, z wiosną ani do próg. Ze kolekcja rubryka w popularnym „Świecie“ z pełną urokiem odważa wyznać, że nie wie dokładnie co ten termin oznacza, nikogo nie powstrzyma od skoniowanie myśliwskiego kostiumu, przyozdobionego w okolicy bioder (konieczni!) paskiem ze złotego łańcuszka z dynadajacym zegareczkiem i będzie to wypis wymaluj strój, który... oglądalam na starzych angielskich szytach, rozwieszonych w mrocznych korytarzach słynnego „Końskiego Klu-

ROMAN TUREK

OZDROWIENIEC



Któż by nie znał Szczepana Niezguity? Mieszkaniec położonych z dala od szos bitych i bardziej zgrupowanych osiedli, siedzący w niedostępnych ostępach nawet, i ten o Szczepanie słyszeć musiał i zaciękałoby zobaczyć go i poznać zaprawdę. Nie tyle sławą ile rozbębniatym od czasu do czasu wokół swej osoby rozgłosem, Szczepan nie cieszył się zgola. Bywało, przynosiły mu one takie strapienia, że wołałby zapasać się pod ziemię, raz skończyć i nie już o sobie nie usłyszeć więcej. Z całej duszy pragnął przecieć, by poczynania jego zaliczane były na plus, jako piękne, godne człowieka ofiarne, gotowego nieść pomoc bliźnim w każdej potrzebie. Był on zresztą jakby stworzony do niesienia pomocy słabszym i mniej zaradnym od siebie. Poskapiwszy mu odrobiny wdzięku i urody matka natura, wynagrodziła ten despekt, obdarowując go w zamian wzrostem wysokim, krzepką budową i siłą niedźwiedzia. Nie nosi się on z tymi walorami zbyt szumnie, nie zadziera głowę ani reklamuje, czego dokazać i czym zadziwić każdego potrafi. Owszem, zachowuje się skromnie, głowę nosi w dół opuszczoną, skutkiem czego, idąc wygląda jak gdyby poszukiwał czegoś po ziemi. Ale niechno postępy skierowane ku sobie słowa:

„O, jakie to szczęście, że idziecie, Szczepanie. A ja jak widziacie, źle wycelowałem w bramę z furą siana, oś tylną o słup zaczepiła i teraz choć ty ręce łam. Ani naprzód ruszyć, ni w tył cofnąć się nie da. Może będziecie tak dobrzy pomóc mi zad wozu nasunąć troszeczkę?”

— Pomoc, he, he, czego by nie, odsunąć no się — rechocząc niezrozumiałą uciechą, Szczepan prostuje się, podchodzi do tylnej osi wozu z sianem, odwraca się ku niej plecami, rozstawia nogi szeroko, ujmując równocześnie potężnymi dłońmi oś wozu od spodu. Niezbyt głośno stęka-

nąwszy nawet, sam w pojedynkę dźwiga Szczepan tył fury z stanem w górę i przenosi go oswobodzając z uwięzi osi o słup bramy.

Dziękując wdzięczny właściciel furmanki podjeżdża ku stodole, Szczepan zaś jeśli tylko dysponuje czasem wolnym, sunie za nim, ofiarując się z pomocą przy zrzuconiu siana do zasieku czy na brog wysoki. Popracowawszy godzinę czy kilka, Szczepan nie przyjmie zaofiarowanej zapłaty, a broń Boże. Wiedzą o tym wszyscy. O, i owszem, zaproszony do stołu, siada z ochotą. A zjeść może za kilku, wypić... choćby jezioro potrafi. Nie do wiary jak w miarę wypijanych szklanek pragnienie Szczepana rośnie i potężnieje! Dno jednej czy kilku opróżnionych butelek powoduje u Szczepana rozpacz i łyżę nawet. Prosi natenczas i upomina się o więcej, obiecując gościnność hojnych gospodarzy wynagrodzić wszelakim wysiłkiem i w każdej potrzebie. Alkoholi jakby nie działa na niego, na nogach trzyma się mocno i pewnie, jego serce otwiera się coraz szerzej, wszelkie niedole i ponoszone przez gospodarzy krzywdy bolą go jak jego własne. A krzywd tych jak się okazuje z opowieści zawiązanego już oparami alkoholowymi, gospodarz poniósł wiele. Niestety, nie jest w stanie i sił mu brak, by je sobie samemu wetera czy zemiścić się na krzywdzieliach, odpowiednio do ich winy dotkliwie.

Zrywa się ze swego miejsca oburzony Szczepan; — co, mojego dobroczyńcy? Ja się już policzę z tym łajdakiem — wyrażając zły jak wszyscy diabl razem, Szczepan nie żegnając się wychodzi w ciemną noc. Nogi same niosą go w kierunku zagrody domniemanego wroga gospodarza, na którego goszcząc go, on zalił się i utyskiwał.

Darmo oczekuje z kolacją na męża zmartwiona Szczepanowa. Nie zjawia się w godzinie, w której

zwykły był wracać po pracy; nie pokazał się w domu do rana.

— Oho! Znowu go ktoś po drodze zatrzymał czy zakosztowawszy szklankę, sam poszedł poszukiwać dalszych, Bóg Święty wie, gdzie i do kogo. Żeby też namówiony przez kogo nie nabradziły gdzie znowu nadto — wdychała pobożnie.

Nie śpiąc noc całą chodzi pod ścianami domu nasłuchując czy hałas nieprzystojny nie dobiegnie ją jaki i wypatrzyć; A już przywiozą jej męża zbitego, na odmianę, do nieprzytomności. Jedno lub drugie zdarzało się zawsze, jeśli tylko Szczepan o zwykłej porze w domu po pracy się nie pojawiał. Na nieszczęście odległość między domem a zatrudniającym Szczepana zakładem pracy wynosi sześć kilometrów. Trasę tę otaczają gęsto usiane z obu jej stron zagrody, zamieszkałe przez lepszych lub gorszych, ale dla Szczepana zawsze miłych przyjaciół lub co najmniej znajomych.

Nie doczekawszy się męża do rana Szczepanowa, wyrusza do zakładu pracy. Ceniony przez dyrekcję jako jeden z najsolidniejszych pracowników, pozostawiany bywał niekiedy po godzinach, gdy zachodziła tego potrzeba. Dwa razy podniesiony był już Szczepan do godności brigadiera, powierzano mu stanowiska kierownicze. Dzięki jednak nie dającym się przewyżczyć skłonnościom do szklanki i szeroko otwartemu sercu, zamianowania te tracił, spadając do roli łopaciarza z powrotem.

W zakładzie pracy dowiaduje się Szczepanowa, że maż jej po godzinach na szychcie nocnej zajęty nie był. Rano też nie zgłosił się do pracy, mimo iż właściwa godzina minęła już dawno. W niedługą czas potem do zakładu pracy i uszu strapionej małżonki dochodzi wiadomość, że w czymś tam domu wyleciały szyby lub inne zdarzyło się nieszczęście. Szczepan zaś niewczas nocy w pomieszczeniu gmachu MO odspya, albo w szpitalu z ran łożąc się zaczyna.

„Co z tym nie umiejącym opanovać się przytępem uczynić? — zachodziła w głowę Szczepanowa, zastanawiał się administrujący zakładem pracy zarząd i rada zakładowa. Kając się bowiem, tak czy inaczej poszkodowany Szczepan, płacząc rzewnymi łzami przysięgał na wszystkie świętości, że pijany nie był, siedzi na własnych nogach, tyle, że nie pamięta niczego, a zatem nie on winien zaszytym wypadkom, ale ktoś, co się do niego przyplątał niepotrzebnie. Jakkolwiek z pewnym zazenowaniem i smutkiem w oczach, przyrzekał jednak nie tknąć więcej już razy szklanki czy nawet kieliszka.

Aż przyszedł czas, że Szczepan zniknął sprzed ludzkich oczu jak kamfora.

„Spł się znowu ponad miarę, nabrolił czort wie co w stanie zamroczenia i za kratkami znalazł się nareszcie — nie widując go sądzili, jedni zacierając ręce z ukontentowania, inni współczując.

...A może dyrekcja zakładu pracy na inny teren nieoprawnego piąka dla opamiętania przeniosła, czy żona łubczyku z herbatą zadana mu i teraz na krok nie odstepuje od niej w domu, a do pracy PKS-em dojeżdża — snuły się przypuszczenia.

Czas mijal. Przywykłem i ja do braku widoku od wielu lat znanego mi Szczepana. Mieszkając bowiem o krok od szosy głównej, obserwowałem co dnia idącego w ponurym nastroju do pracy rano i wracającego z fantazją zadzierzyszt wieczorem, w wiele godzin po ukończonej szychcie w zakładzie pracy.

Nagle, jak gdyby bomba pękła. Pewnego pięknego popołudnia zjawia się w mym mieszkaniu zapomniały już Szczepan. Jest jakby odrodzony, uśmiecha się betrosko, zmętniałe dawniej, bez wyrazu oczy, iskrzą się blaskiem błękitu nieba.

— Gdzieś się podziwiał przez czas tak długi? — zapytuje, kryjąc cierpienie, dłoń moją bowiem uściłnął Szczepan w swojej tak potężnie, że obawiałem się, iż w drobny mak ją pokruszył.

— To nie wiesz? A ha, ha, — zarżał jak koń na widok świeżo wyspanego obroku do żłobu. — Do Koberzyna odesłały mnie cholery od pijaństwa odzwyczaić.

— I co, jak tam w tym zakładzie leczniczym? — zapytuje.

Opuszczony głowę ku podłodze typnął wzrokiem zjadliwie i z szyderczym uśmiechem mówił poczęt:

— I, i, i... szlak by ich trafił. Słodką kaszę jęczmienną gotowaną w mleku z wodką na stół podają, jagłana gotowana w serwatce na kwaśno, wódką tam była podmaszczana; zupa ziemniaczana w początkowych dniach mojego tam pobytu, spirytusem też była podlewana. Podczas śniadania, obiadu i kolacji butelka pełna na stole stoi, bierz tylko i chlej, ile dusza zapagnie człowieka.

— O! — wyrwało mi się z ust zdziwienie, zgola niechcąc.

— Ehe, poczekaj! Myślisz, że piją pacjenci? A jakże... Wszystko było by w porządku, gdyby nie te doktry, lekarstwa i ich zastrzyki cholerne. Jak się zabiorą do człowieka, to nie tylko smak do picia utraci, zapach wódki obrzydzenie mu sprawia, ale na sam widok butelki z czerwoną etykietką wymioty go porrywają takie, iż zachodzi obawa, że książki do góry podszewką mu odwraca. Och, powiadam ci, to nie do zniesienia.

— A przecież wytrzymałeś! Nie wiem tylko jak długo — rzuciłem pytanie.

— Sześć miesięcy jak jeden dzień. 2 tygodnie minęło co tylko jak wróciłem — podniósł bohatersko głowę, ciekawo widocznie jakie ta wiadomość urażenie na mnie sprawi.

— Cieszę się, że kurację tę zakończyłeś i zdrów wróciłeś. Odzwyczajony, nie pijąc w niemile kłopoty nie popadniesz, jak to przedtem bywało — rzekłem mu na pocieszenie.

Opuścił głowę na piersi i zamilkł, najwyraźniej zgnębiony. Po niedługiej chwili sięgnął ręką do leżącej mu na kolanach teczki i wyjmując z niej spory, jedwabny woreczek, cezdził słowa zaczął nieśmiało:

— O, wiesz co? Otrzymałem czter funty pieprzu z zagranicy, po co mi tego aż tyle? Gotowanego w mleku nie będziemy jedli go przecieć. Tymczasem ja grosza przy duszy nie mam, sknera żona w wypłaty zarobki moje zabiera i wysyłko w zamknięciu przede mną trzyma, na nic nie pozwalając. Jakże tak żyć mogę? Proszę cię, ja nie chcę handlować ani dala od krewnych z zagranicy sprzedawać. Ale tak po przyjaźni, dam ci dwie garście. Bądź mi i ty przyjaciele, daj wódki szklaneczkę.

Wytrzeszczyłem na niego oczy jak ogłupiały; — jakże to, w dwa tygodnie do leczenia? Nie sprawia ci obrzydzenia alkohol? Nie wierząc uszom własnym, zarzuciłem go kilku pytaniami naraz.

Parsknął śmiechem szyderskim. — E, nie rozumiesz świata, jak i te doktry. Im się zdaje, że swoimi systemami ulecza innych, sami zaś trąbić będą, ile kiedy zechcą. Powiadam ci, budza z tym leczeniem, bo kto chce pić, będzie pił jak i przed tym. Ja jaki smak miałem przed tym, taki mi pozostał po uleczeniu. Daj, proszę cię, szklankę wódki, nie więcej. Nie dasz ty, da kto inny. Ja napić się muszę, choćby mi wszystkie pieprz zastawił czy oddał przyszło.

Znając charakter i naturę mojego gościa, poczęstowałem go jednym gębszym. Wlał w siebie z godną podziwu zachłannością i mimo że wzbraniałem się przyjąć, dwie garście pieprzu przede mną na papier wysypał. Po niedługiej chwili Szczepan poweselał, stała czerwoność ozdobiła jego szare, wziędłe policzki. Rozgadął się też jak zwykle, zaczynając szpikować swą mowę znanymi u niego skwarkami słów dosadnych.

— Kochany, poczęstuj mnie jeszcze jednym takim — poczęt prosił po chwili znowu — dwie garście pieprzu ja ci już dosypuję.

Teraz dopiero przekonałem się jak wielkie głupstwo państwa, ulęgając prośbie Szczepana. Zakosztowawszy gorzałki nie ugasił pragnienia i teraz dopiero będzie jej szukał z wytrwałością godną lepszej sprawy. Czując się winny prosiłem go, by nie bawiąc, do żony i rodziny spieszył, znanek bowiem zaczął zapadać.

Przekonały, że nie otrzyma już w domu moim ani kropli, stracił humor i z miną obrażoną, bez pożegnania, mieszkanie moje opuścił.

Następnego dnia specjalnie zasięgnąłem wiadomości o pogniewanym na mnie Szczepanie. Okazało się, ozdrowieniec nie wrócił na noc do domu. Zmuszeni zaopiekować się brzydąką funkcjonariusze MO, nie znaleźli przy nim już ani ziarenka drogocennego pieprzu. Całe cztery funty ziarna tego przefujształ, zamieniając je na chleb w płynie widocznie.

bu” w znanej z hipicznymi wyścigów w miejscowości Nakuru. Ten anachroniczny model prosi się jeszcze o korkowy hełm tropikalny, siatkę na motyle, a wszystko razem to jakby walse Francois, stara melodia w transkrypcji na język mody.

Co innego prześliznęło, proste w linii, z króciutkimi spódnicami i pasowanymi zakieciakami, różowe, w tonacji herbaciano-różowej rózy kostiumki i do tego słonkowy canotier na głowę z różą nad prawym okiem. Jak pięknie w takim stroju wyglądają mło-



Afrykańska maska. Taki motyw obowiązuje jakoby na „nadruku” wiosennego jedwabiu, a także jako efektowne spięcie letniego sandała...

FOT. M. KOPEC

de, rosła Afrykanki! One wiedzą w czym im do twarzy. Odmiane kostiumu afrykańskiej modniści stanowi wąska, znowu w tonacji rose sukienka z czymś w rodzaju wojskowych pagonów na ramionach, spiętych złotymi guzikami, z zakieciem z taką samą złocistą ozdoba. Albo z szumiącej tafty błękitnej, zielonej, liliowej zgrabna sukienka i do niej płaszcz z takiego samego jedwabiu. Lub też „krzyk sezonu” — granatowa sukienka bez rękawów (materiał w gatunku naszego lnu) lamowana zgnilą zielenią i z tej tkaniny płaszcz bez kołnierza o nieco podomkowym fasonie, nie zapinany, lecz wiązany na prawym biodrze.

I obowiązkowo kapelusz. Nie nasz jednakże, sztywno uformowany, nieodwracalny w swym fasonie. Afrykanki — w mieście oczywiście — chętnie postępują się surowym filcowym stożkiem w neutralnym kolorze, by go odpowiednio drapować efektowną jedwabną chustką, często malinowej barwy, pozostawiając luźne końce na karku lub też sięgając do autentycznych chust, batikowanych przez murzyńskie artystki ludowe.

W reprezentacyjnym hotelu „Stanley”, gdzie w głębi podwórza przepojonego kuchennymi zapachami, między salonem fryzjerskim a gabinetem ko-metyczki mieści się szumnie zwana sala wystawowa, oglądałam w większym wyborze takie na wskroś oryginalne ludowe wyroby. Widziałam je później na wielu kobietach i jeśli już tak bardzo pragniecie...

Jest to więc prosto skrojona sukienka, na ogół z bawełny granatowej lub czarnej, z ręcznie malowanym wzorem. Motyw zaczerpnięty ze świata zwierzęcego: dominuje zwierzątko, nadszykując przypominające na wnego kota z dużymi oczyma, z wąsami. Można to odrysować z rozdziału polskiego elementarza, gdzie czyta się o tym, że Ala ma kota.

W galerijkach iście wschodnich bazarów, wprost na ulicznych kramach, Kenya oferuje turystom ciekawane skóry lamparcie w najrozmaitszych

odmianach. Najczęściej na torebkach, na efektownych okrągłych koszykach, zamykanych wieczkiem z odrobiną futerka. Torba z czarnej skóry z masywnym zamkiem, kombinowana z lamparcią skórą, do tego analogiczne szpilki — to komplet tyle reprezentacyjny co i ogromnie drogi.

Na wystawie wielkiego magazynu w Nairobi, obok takiego trochę przeciężkiego zestawu, oglądałam letnie pantofelki warte skopiowania; spód stanowił koturn z jasnego lekkiego elastycznego drzewa, na wierzchu była czarna masywna siatka w pluszowe krople, całkiem przypominająca woalki naszych matek akurat z tych lat, gdy śpiewano „Tittin”. To naprawdę znakomite obuwie nie tylko na upały afrykańskie.

Zresztą i tam nie zawsze jest tak upalnie, jak nam to przedstawiają organizatorki naszej mody, zachęcając nas wręcz do przedziania się w przewiewną spódniczkę ze skrawków rafii, do zamiany sukni na strój, w jakim podczas rozmaitych świąt narodowych, pokazów dla zagranicznych gości, produkują się afrykańskie tancerki.

W naszym klimacie warto raczej naśladować modę białych długich swetrow damskich w rodzaju mini-płaszczków. Nie czekając na afrykańską wólczkę, śmiało zróbcie sobie na drutach z białej puszystej owczej wełny obszerny blezer lub luźny żakiet z kołnierzem, suto zdobiony wzorem w tzw. warkocz. Z tym znakomicie harmonizując obszerna torba z kolorowego płótna, zamiast uchwyty z kółczkami plecionymi z rogożyny (na pewno wyrabia je nasze koszykarskie zagłębie w Rudniku). Prosta spódniczka z takiego płótna z nakładanymi kieszeniami zakończonymi strzępią frędzlą, i w takim stroju choćby prosto na równik.

Wszelkie, tak generalnie zachwalane ozdoby z afrykańskich masek, umieszczonych wprost pod kolanem lub nawet wyżej, z dodatkami rafii i paciorków, wydają mi się, w konfrontacji z widokiem Afryki w dniu powszednim, nieco przesadne,



Afryka Wschodnia: w takim stroju kenijskie dziewczęta tańczą przed filmowymi kamerami.

Nie wątpię też, że aktualny Międzynarodowy Rok Turystyki pozwoli nam samym szerzej niż w latach minionych konfrontować z istotnym stanem to, co sugerują nasze mistrzyne modnego stroju, czasem może aż nadto przekonane o tym, że importowane z t a k a d a l e k a modele czy pomysły przyjmowane będą na ślepo, na zasadzie k t o j e t a m w i d z i a ł...

Zycząc nam wszystkim wspaniałych dalekich wojaży, chcąc z całego serca zachęcić przyszłe podróżniczki do całkowitego nieleczenia się z dyktatem naszej tygodnikowej mody i do startowania w świat w stroju pozbawionym przesadnej prowincjonalnej

elegancji. Nic z niesmacznej przesady, z niewolniczego naśladownictwa modeli z nieudolnych żurnalowych fotosów przywożonych choćby znanek Sekwany!

Natomiast na większe zagraniczne okazje, krynolina z krakowskich wstążek (z CPLiA wstążki plus talent rzeszowskiej krawczyni) zdolna jest, o czym oświadczyć miałam przyjemność przekonać się, zrobić pożądany efekt i równocześnie jakoś napomknąć o tym, że kraj nasz, jakby nie było, też ma swoją własną modę.

A nie tylko Modę Polską, nieustannie, a niespokojnie zwróconą nasłuchem to na Paryż, to aż w stronę Afryki...

Ze sztambucha ojca Polaka

MOJA PIERWSZA WYWIADÓWKA

Mój syn do niedawna miał szczęśliwe dzieciństwo, ale jesienią musiał iść do szkoły. Początkowo cieszył go nowy tornister, długopis tatusia i uroda ciała pedagogicznego. Głupstwo, że chciał kończyć edukację po trzech lekcjach, nie każdy od razu się zakochuje w nowym miejscu pracy. Łatwo też za to dał się przekonać, że człowiek kulturalny musi umieć czytać plansze telewizyjne, a to wymaga uczęszczania do szkoły.

Myślałem, że jako ojciec jeszcze nie mam powodu do szczególnego przejmowania się. Nie uniknąłem jednak wywiadówki. Długo pocieszałem się, że tym razem JA nie mam powodu do obaw. Ubrałem się jak mogłem najstaranniej, skróciłem paznokcie, bo panie nauczycielki to lubią, i poszedłem do szkoły. Szukałem drzewi swojej klasy. Stało już tam kilka osób. Po obserwacji poznałem dorosłe karykatury kolegów syna, mogłem bez trudu powiedzieć, że to Marek, Andrzej bądź Czarus. Ale zaraz przyszła Nasza Pani i próbowałam pomieścić się w szkolnych ławkach.

— Muszę sprawdzić listę — powiedziała Pani — nie znam państwa po nazwisku, a to się jeszcze może przydać...

Mój sąsiad podsunął mi łokciem kawałek kartki z zeszytu do rachunków. — Gramy w bitwę morską? — zapytał szeptem.

Tymczasem Pani wymieniła moje nazwisko, więc odrzekłem przytomnie: C-4.

— Jak się pan nazywa? — Uniosłem się, zawstydzony, razem z ławką. Mały rumor nie miał z sytuacją nic wspólnego.

— Rumieni się pan tak samo, jak syn — powiedziała Pani surowo — gra w kartofle czy co innego?

Matki zaczęły się Pani nieprzytomnie podlizywać, że z chłopami to tak zawsze, że nigdy spokoju, że strząsają popiół na dywan i tym podobne. Pani uciszała klasę, z której bynajmniej nie była zadowolona. — Chłopcy nie chcą myć rąk i są niegrzeczni wobec dziewczynek. Dziewczynki natomiast solidarnie skarżą na chłopaków i gadają na lekcjach, a w ogóle, trzeba podnieść poziom i zdyscyplinowanie. Westchnąłem ciężko. Od wielu lat podnosiłem poziom, który ktoś zawsze deprecjonował.

— Kolega też podnosił? — szepnąłem do sąsiada.

— Proszę nie rozmawiać — zgromiła Pani. — Za chwilę chcę odczytać wyniki. Proszę wziąć kartki i ołówki.

Zapada cisza jak makiem zasiał. Usiłowałem sobie wyobrazić, co będzie powiedziane o moim synu, ale myśl cofała się przed najgorszymi przypuszczeniami. Patrzyliśmy z przekąsem, jak się kręgią panie z Komitetu Klasowego, wiadomo, podlizuchy.

— Prymski... — Tych pań nie było tak dużo, szybko wzięta się Pani za ostatnie ławki.

— Dzienniczek nie prowadzony, brudne ręce, mówi wyraz...

— Jakie, można wiedzieć? — zainteresował się sąsiad.

Pani sięgnęła do notesiku i przeczytała kilka wzorów.

Doszło i do mojego syna. Wystąpiłem właściwie o samych drobniactwach: o zgubionym zeszytce od polskiego, o wybitej szybie na korytarzu i o uszkodzeniu koleżanki workiem od kapci, mogłem właściwie nie liczyć.

— Czy doszło coś nowego, proszę Pani? Zdolny, tylko że leń?

Przez chwilę czułem się ojcem sfrustrowanego geniusza. Powiedziała bowiem, że zdolny. Fizyka, silniki jądrowe, preparat przeciwko białaczce? — myślałem szybko, ale gdy padła cena szyby, zrezygnowałem z dalszych planów.

W domu oczekiwała z niepokojem żona.

— No i jak?

— Wybitne zdolności, do wszystkiego — dodałem zapobiegliwie — tylko się odbijają wady twojego wychowania...

Nie byłem ciekawy, co odpowie.

WIESŁAW RUSTECKI

HISTORIA POWSZECHNA. Oprac. przez Akademię Nauk ZSRR. T. III. KIW, s. 1 005, cena zł 150.

Kolejny tom z serii 10-tomowego opracowania dziejów powszechnych. W tej części znalazła się historia stosunków feudalnych w Chinach, Tybecie, Indochinach, Korei, Japonii i Indiach oraz powstawania feudalizmu w Europie, Azji Przedniej i Środkowej, w krajach arabskich i Turcji, do wieku XV. Obszerny wstęp, indeksy i bibliografia przedmłotu.

Stanisław Rzepki: PRZEZ ŁUŻYCE I SUDETY. Z dziejów 25 pułku piechoty. MON, s. 375, cena zł 20.

Oparta na niepublikowanych dotychczas dokumentach historia pułku — od momentu jego organizowania na ziemi rzeszowskiej, przez Kraków, Śląsk, Pomorze, walki w Łużycach i Sudetach aż do pierwszych dni służby na Ziemiach Odzyskanych. Dokumentalne zdjęcia, mapy.

Władysław Dec: NARWIK I FALAISE. MON, s. 425, cena zł 38.

Zołnierska relacja z dwóch bitew II wojny światowej: spod Narwiku i spod Falaise. Autorem jest były oficer Brygady Strzelców Podhalańskich, a później pierwszej dywizji pancernej gen. Maczka. Bogactwo faktów historycznych i realiów z żołnierskiego życia podanych z humorem i literackim talentem.

Stanisław Szefler: OKUPACYJNE DROGI. KIW, s. 392, cena zł 25.

Jeszcze jeden pamiętnik z lat okupacji hitlerowskiej. Autor ukazuje swe wojenne przeżycia od kampanii wrześniowej, w której wziął udział jako ochotnik, przez pobyt w obozie jenieckim do ukrywania się na terenie Pomorza i pracy w Warszawie, aż do momentu jej wyzwolenia.

Jerzy Bronisławski: NIEWIDZIALNI W TLUMIE. Iskry, s. 283, cena zł 14.

Zbiór ciekawych reportaży, których tematem jest działalność amerykańskiego wywiadu. Większość opisanych w tej książce poczynań Centralnej Agencji Wywiadowczej prowadzi w swych powiązaniach szpiegowskich właśnie do NRF. Książka odpowiada też na szereg pytań dotyczących pracy polskiego kontrwywiadu.

Władysław Kozaczk: BITWA O TAJEMNICE. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1922—1939. KIW, s. 315, cena zł 30.

Oparta na materiałach archiwalnych ciekawa praca o polskim i niemieckim wywiadzie z lat międzywojennych. Książka wyjaśnia wiele spraw w stosunkach polsko-niemieckich w okresie przed wybuchem II wojny światowej.

Warto wspomnieć, że gromadzkie rady narodowe nie zapewniają klubom opału na zimę. Na szczęście jest tych nieogrzewanych klubów coraz mniej, ale jednak znalazło się ich w tym roku aż 22, i to przeważnie w powiatach gorlickim i jasielskim.

Warto wrzecie przekonać rady narodowe, że kluby prasy i książki oraz kluby rolnika są takimi samymi placówkami kulturalnymi, jak świetlice, którymi kiedyś rady się opiekowały, że zmiana nazwy nie zwalnia gospodarzy terenu od odpowiedzialności.

Dla tego celu warto nawet przestudiować 59 stron instrukcji i przepisów, wydanych tylko przez Agencję Wydawniczą „Ruch”, nie licząc zarządzeń i wytycznych planu spółdzielczości, zaopatrzenia i zbytu oraz rozporządzeń lokalnych.

Henryk Pasławski



ZENON CZECH

członek Zespołu Meluzyna w Rzeszowie.

RYS. J. SIENKIEWICZ



Józef Margules: PIECHURZY KOŁOBRZESKIEJ PIĄTKI. MON, s. 453, cena zł 29.

Dzieje 5 Kołobrzeskiego Pułku Piechoty. Autor podkreśla trud i ofiarność żołnierza — bohatera pułku poświęcającą część książki. Stąd najobszerniejszy rozdział: „O tych, co polegali”. Wykaz źródeł i indeksy nadają pracy charakter naukowy.

Iwan Zawjałow: SZYBKOSĆ, CZAS I PRZESTRZEN. O wojnie współczesnej. MON, s. 251, cena zł 18.

Praca z zakresu nauki wojennej ukazująca warunki prowadzenia działań bojowych w ich rozmaitych rodzajach i formach. Podkreśla rolę szybkości, czasu i przestrzeni w działaniach bojowych z uwzględnieniem stanu dzisiejszej sztuki wojennej.

Ewa Jęzewska: JAK ŻYC LEPIEJ I SZCZĘŚLIWIEJ. PZWL, s. 72, cena zł 4.

Popularny wykład wiedzy o reakcjach psychicznych człowieka. Uczy jak zapobiegać nerwicom.

Kinga Wiśniewska-Roszkowska: DRUGA I TRZECIA MŁODOŚĆ KOBIETY. Wyd. 2. PZWL, s. 105, cena zł 5.

Poradnik dla kobiet po czterdziestce i więcej. Uczy walki ze starością.

Andrzej Jaczewski, Jerzy Zmijewski: MIĘDZY NAMI MĘŻCZYZNAMI. Wyd. 2. PZWL, s. 141, cena zł 7.

Książeczka traktuje o sprawach związanych z dorastaniem zarówno fizycznym, jak i psychicznym, wyjaśnia wiele zagadnień z dziedziny seksuologii. Szczególnie dla dorastającej młodzieży.

Irena Krzeska: WYPRAWA PO ZDROWIE. PZWS, s. 151, cena zł 7.

Zbiór podstawowych wiadomości z zakresu ochrony zdrowia dla nauczycieli i dzieci już w wieku od 9 lat.

Tadeusz Boszkiewicz: JAK RATOWAĆ W NAJBARDZIEJ NIEBEZPIECZNYCH DLA ŻYCIA WYPADKACH I ZACHOROWANIACH. PZWL, s. 135, cena zł 7.

Z cyklu „Zdrowie dla wszystkich” wiadomości z zakresu anatomii i fizjologii oraz ratowania życia człowieka w wypadku zatrucia, oparzeń, porażenia itp.

Maria Szczawińska, Kazimierz Bacja: DBAJ O SIEBIE. PZWL, s. 183, cena zł 8.

Praktyczne rady dla kobiet żyjących na wsi. Dotyczą one higieny osobistej, racjonalnego odżywiania i właściwego odpoczynku, usprawnień domowych oraz zapobiegania różnym dolegliwościom.

Halina i Henryk Kocznorowscy: URODA I ZDROWIE. PZWL, s. 207, cena zł 10.

Piętę wydanie zbioru rad praktycznych, przeznaczonych przede wszystkim dla kobiet: jak zachować urodę i zdrowie.

Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi

Wydział Kultury Prez. RN m. Łodzi i Zarząd Łódzkiego Oddziału ZLP organizują w dniach 2 i 3 czerwca br. drugi Ogólnopolski Festiwal Poezji. Udział w nim wezmą poeci z całego kraju, wybitni pisarze i krytycy, łódzcy działacze kulturalni i oświatowi. W ramach festiwalu odbędą się trzy konkursy poetyckie, których rozstrzygnięcie nastąpi w dniu 3 czerwca.

Oto charakter konkursów: konkurs „A”, otwarty, przeznaczony dla wszystkich poetów, na niepublikowany utwór poetycki (wiersz, poemat). Konkurs „B” na niepublikowany utwór tych autorów, którzy do chwili ogłoszenia konkursów nie wydali osobnych tomików poetyckich. Konkurs „C”, otwarty, na współczesny niepublikowany utwór poetycki o tematyce łódzkiej (wiersz, poemat, cykl wierszy). W konkursach „A” i „B” pierwszeństwo mieć będzie tematyka związana z 25 rocznicą powstania PPR oraz 50-leciem Wielkiej Rewolucji Październikowej.



M. O. Rzeszów: Jeśli to jest najlepszy z wierszy zbioru, lepiej nie liczyć na sukcesy w dziedzinie poezji. Zgodnie z zaleceniem listu zwróciłem uwagę na to, iż każda linijka wiersza zawiera dziesięć sylab, ale naprawdę nic z tego nie wynika. Lepiej to „Wyznanie” przelać chłopcu bezpośrednio, bez pomocy redakcji.

K. S. Zagórz: Wiersze bardzo złe — nawet patriotyczne tytuły nic im nie pomogły. Szkoda sobie zwracać głowy.

W. Z. Rzeszów: Z opowiadania „Niestety, nie skorzystamy” — nie skorzystamy. Sentymentalne, rozgadane i zbyt impresyjno-lyryczne. W dodatku stawia Pan sprawę na głowie. Czy istotnie bohater opowiadania, kandydat na twórcę, ma prawo usprawiedliwiać swój nałóg pijactwa negatywnymi odpowiedziami wydawnictwa. A do pożytecznej pracy w innej dziedzinie wziąć się nie można?

M. P. Skopanie: Wiersz „Zbrodniarz polski” przypomina jarmarczne, przedwojenne pieśni oparte na mroźnych krew w żyłach wydarzeniach kryminalnych. Jeśli to poezja, to podwórkowa i straganowa, a my,

Zdarzenia tygodnia

Wydział Kultury Prez. PRN w Ropczycach wspólnie z Zarządem Powiatowym ZBoWID zorganizował w dniu 19 marca w Skrzyszowie uroczysty wieczór wspomnień dla artystów PPR. Na program uroczystości złożyły się odczyty, referaty, wręczenie odznaczeń, wspomnienia działaczy PPR i część artystyczna.

18 bm. w Domu Sztuki w Rzeszowie otwarto ogólnopolską wystawę prac malarzy realistów. Zestaw prac, zawierający 70 obrazów udostępniło Centralne Biuro Wystaw Artystycznych w Warszawie.

W lubaczowskim PDK odbyło się szkolenie członków rad społecznych klubów oraz kierowników świetlic wiejskich i PGR. Podczas szkolenia omówiono rolę rad społecznych, pracę rozrywkową w placówkach k.o. oraz estetykę wnętrza.

W Rzepedzi, pow. Sanok zakończył się zorganizowany przez Wojewódzką Komisję Zw. Zaw. plener plastyków. W kombinacie drzewnym w tej miejscowości przez 10 dni przebywało 14 artystów plastyków z rzeszowskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków.

Rzeszowski Oddział Związku Teatrów Amatorskich zorganizował z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru szereg spotkań z reżyserem i aktorami Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie.

Reżyser teatru E. Turka spotkała się z mieszkańcami Osieka, pow. Jasło i Świętego, pow. Jarosław, J. Wysocka — Muniy Dużej pow. Jarosław, Aktoży T. Zawirski, W. Gałązka i Z. Zaręba uczestniczyli w powiatowej imprezie w Podgrodziu, pow. Dębica. Adam Fornal spotkał się także z mieszkańcami Ostrowa pow. Jarosław i uczniami II Liceum Ogólnokształcącego w Rzeszowie. J. Jachowicz był natomiast gościem mieszkańców Sosnicy w powiecie jarosławskim.

W Powiatowym Domu Kultury w Sanoku odbyło się szkolenie gospodarzy klubów „Ruch” i klubów „Rolnika”, poświęcone omówieniu zagadnień z zakresu pracy rozrywkowej.

Komisja Oświaty WKZZ w porozumieniu z Kuratorium Okręgu Szkolnego w Rzeszowie podjęła prace nad badaniem przydatności absolwentów zasadniczych szkół zawodowych w zawodach: ślusarz, tokarz i frezer. Badaniem zostaną objęci absolwenci z lat 1959/60 do 1965/66, zatrudnieni w przemyśle metalowym zgodnie ze zdobytymi kwalifikacjami. Do poszczególnych zakładów pracy i dyrekcji szkół Komisja Oświaty i Kuratorium wysłały już odpowiednie ankiety.

Staraniem Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego w Nowej Dębce, Kolbuszowej, Przemysłu i Rzeszowie odbyły się koncerty muzyki popularno-rozrywkowej. Na program złożyły się występy Leokadii Zielenki (piosenki-parodie) i znanego piosenkarza Olgierda Buczka. Orkiestra dyrygował Tadeusz Chachaj. Konfrensjerka Magdy Bartoszek, aktorki Teatru im. W. Siemaszkowej z Rzeszowa.

W sali widowiskowej rzeszowskiego Klubu Plelegranierek odbyła się premiera nowego programu „Kabaretu Siarszych Pań”. Rady Zakładowej Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie. Spektakl poświęcony blaskom i cieniom pracy szpitala przygotowany pod kierownictwem Izabeli Gorgoniowej. Muzyka — Fic-Fontana.

W WDK odbyło się kolejne szkolenie instruktorów do spraw poradnictwa (prowadzących biblioteki repertuarowe) PDK i powiatowych ośrodków instrukcyjno-metodycznych. Tematem szkolenia była historia książki i opracowywanie bibliotek.

niestety, takich utworów nie publikujemy.

Basia z Uroczyska: To są wiersze „Piomyckowe” czy „Swierszczykowe” — wyraźnie przeznaczone dla dzieci, ale bardzo nieudolne. Nie drukujemy wierszy z refrenami „kap, kap, kap // iap, iap, iap” lub takich strof „Małe nóżki // mały kroczek //, idzie do nas // Nowy Rzek...”

J. U. — Sanok: Lepiej późno dowiedzieć się niemiłej prawdy niż nigdy. Wiersz „Wiosna” nie ma nic wspólnego z twórczością poetycką.

Brzozowińska: Nadesłany zbiór wierszy jest dowodem dużego odczytania autorki w poezji i niepośledniej kultury literackiej. Za mało jednak w tych wierszach oryginalności, samowiedzy artystycznej i jednolitości stylu. Różne konwencje liryczne krzyżują się w jednym utworze, a czasem nawet w jednej strofie. Dość interesujące „Przecucie” mimo wyraźnych wpływów Czechowicza (prawie pastiche), także „Sonet optymistyczny” — zle — „Millenium”, przegadane „Echa”. Do publikacji żaden z wierszy na razie się nie nadaje, ale może warto pisać dalej. Widać w tekstach znamiona talentu i wyobraźni.

Joanna: Wiersze bardzo konwencjonalne, tradycyjne i wtórne. Połowe wierszy stanowi tzw. „wata słowna” wlotczona w tekst dla rymu czy rytmu. Za dużo opisywania, przymiotnikowania i taniej nastrojowości. Nie skorzystamy.

KLUBY, KLUBY...

(Ciąg dalszy ze str. 2)

niezależnymi funkcjami społecznymi. W skład społecznej rady klubów czy innych tego typu placówek winni wchodzić obok przedstawicieli władz działacze kulturalno - oświatowi, przedstawiciele miejscowej inteligencji, której w każdej wsi spora garstka już się uzbiera. Winni wejść nauczyciele renciści, którym czas pozwala na systematyczny wkład w programowanie pracy klubów. Potrzebna jest przede wszystkim koordynacja środków i wysiłków, bez której bardzo często możliwości, jakie stwarza klub są na skutek partykularnych ambicji nie wykorzystane.

A gdy do tego dodamy jeszcze nie zawsze przygotowanych do społecznej działalności gospodarzy klubów (tj. tych, którzy lokal otwierają, zamykają, sprzedają posiadany towar, parzą kawę i herbatę, otwierają i zamykają telewizor.